

HISTORIA BYTOMIA I PIEKAR

OD SAMEGO ICH POWSTANIA

Srebro kruszce, topienie księży w Bytomiu,
klątwa św. Jacka i jej skutki.

Opis Obrazu i cudów N. M. Panny, oraz bu-
dowa starego i nowego kościoła w Piekarach.

Wydanie drugie, poprawne i pomnożone.

W DWÓCH CZĘŚCIACH.

Wydał Stanisław Czerniejewski.

N. PIEKARY.

Czcionkami drukarni »Gwiazdy.«

1898.

Cena 40 f.

Przedruk prawnie zastrzega się.

4055

OD JANEGO ICH POWSTANIA
ZBIORY YRIBZ

Opis (4) 282 + 8, 446

Wydai Stanisław Czerniejewski.

N. PIKARY.

Czcionkami drukarni „Gwiazdy”.

1898.

© 1898

Erstausg. gew. nach dem

Historya Bytomia i Piekar

z opisem

podownego Obrazu i budowy nowego Kościoła
w Piekarach.

I.

Bytom na Górnym Szlaku.

Z początkiem wiosny roku 1361 [w liczbie tej musi być pomyłka. W historyę tę bowiem wchodzi ś. Jacek, który jak w żywocie jego napisano umarł r. 1257, a więc zdarzenie to mogło mieć miejsce około r. 1260 a nie 1361] po narodzeniu Chrytusa, kiedy w głębokiej piwnicy pod swoim domem w Bytomiu siedział przy rozmarzonych wętlach, burmistrz, Jędrzej Fabryca, mąż chciwy panowania i majątku, trzymając ogromny tygiel, z którego ulał ostrożnie w wielkiej formie srebrną kolebkę. W tym usłyszał do drzwi stukanie, po którem wstąpił ksiądz Anzelm, proboszcz ówczesny św. Małgorzaty, który przybył gankiem podziemnym z przedmieścia Gliwickiego, doświadczonego prowadzącym tajemnie, aż do piwnicy tejże. „Bóg z wami! — Niechaj będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ przemówił przybyły kapłan — poczem zapytał: A co, Izaliż korzyść hojną była? — „Hm, trzeba się było schylać i ścisnąć we wilgotnym prze-

chodzie, jakby górnikowi w głębokiej kopalni! Patrzajcież! oto srebrna kolebka!“ — Na to rzekł ksiądz proboszcz: „Ej! wy Bytomscy właściciele kruszcu, jużście się daleko posunęli, bo potomków waszych w srebrze kołysać zamierzacie! Nie dosyć wam jeszcze o tem, że po wschodkach srebrnych do przepysznych i pod pokłady sięgających łóżek waszych wstępujecie? Wiecie wy też jednak, że z tego się Proboszczowi waszemu dziesiątek należy?“

Głosem gromowym odezwał się rozgniewany Fabrycy: „Co! nigdy nienasycony obłudnik i od srebra chce mieć dziesiątek? Nie będzie nic z tego; nie tylko teraz ale i na potome czasy! a chociażbyśmy wszyscy zniszczyć mieli.“

„Może macie i słuszość, rzekł ksiądz Anzelm, zaprawdę, przykrem wam to być może, że kościół naszego u św. Małgorzaty za darmo używać możecie, a Proboszczowi kościół Panny Maryi grosz Pragski płacić i pałę dla koni dawać musicie, nie mówiąc o tym, abyście jeszcze dziesiątek ze zysku górnictwa waszego dawać mieli.“

Na to odpowiedział burmistrz: „Nie będzie nic z tego, i dziś jeszcze miłościwemu księżciu naszemu o tem sprawozdanie uczynię.“ Na to rzekł proboszcz: „Wolno wam tak uczynić. Chętnie ja codziennie w kościele miejskim Godzinki śpiewać każę, jeżeli go z probostwem naszym połączycie; wszakże wam

wasz proboszcz Piotr z Koźła, tylko jest od ksiązęcia Cieszyńskiego wciśniony.“

Jemu przykiwując, zapalił Fabrycy grubą pochodnię z łuczywa, tak, że wysokie sklepienia piwnicy zajaśniały, od czego twarz brodata rozjątrzonego Fabrycego nieprzyjemną się wydawała. Przeciwnie ksiądz Anzelm niepokazywał w obliczu swoim, co w duszy jego się działo. Spokojniej, aniżeli przyszedł, powrócił podziemnym chodnikiem.

Burmistrz Fabrycy, ubrany w czarne urzędowe szaty, z mieczem szerokim przy boku, udał się na ratusz; a gdy przez długi czas z syndykem Wojtachą tajemnie się rozmówił, uczynił radzie zgromadzonej przedstawienie, ażeby kopalnie kruszczu srebrnego przed Górską bramą zwiedzieć. [Szczątki tych kopalni zaczynały się od domku prochowego, garnizonu Bytomskiego i ciągnęły niedaleko granicy Miechowic, wsi o pół mili od miasta Bytom'a odległej.]

Powagą i godnością napełnieni, szli radzcy naprzód, przed nimi szedł kat z mieczem golem, na znak, że magistrat w Bytomiu miał prawo nad życiem i śmiercią; za nim postępowali dwaj słudzy miejscy z kijami i powrozami, a w tyle straż z dwunastu halebardystów, członków młodszych cechu kowalskiego; na których dziś kolejno służba trafiła. Droga ich szła obok szubienicy, o kilka set kroków tylko od bramy miasta stojącej, na który ciał

Dęgosa, rabusia sławnego wisiało, który ludzi, idących do źródła niedaleko bramy Gliwickiej wychodzącego napadał, na koniec i jemu, jak przysłówie mówi: ucho od dzbanka się urwało, i miarka się przebrała, iż za zbrodnie popełnione należyta zapłatę odebrał.

Przy spojrzeniu na szubienicę zawolał burmistrz: „tak wszyscy, którzy powszechnej spokojności przeszkadzają, zginąć muszą.“ Atoli on sam przeciw ks. Proboszczowi Płotrowi Kozelskiemu niegodziwe podstępny w sobie tał. Proboszcza tego bowiem ksiązę Przemysław na Cieszynie opiekunem ksiązęcia na Koźlu uczynił, któremu połowa miasta Bytomia należała i onego na prebendę wprowadził.

Magistrat tedy był oto bardzo zagniewany, że ksiązę pomimo ich woli ks. Piotra im przesłał. Napełnieni gorzką nienawiścią ku Proboszczowi miejskiemu, przybyły osoby magistratu do kopalni kruszców srebrnych i napotkali tam właśnie proboszcza Piotra, który cechmistrza Wojciecha Pelkowskiego odwiedził i najuiewinniej pomiędzy inną rozmową, onego zapytał: „wiele też rocznie górnictwo dochodu przynosi“. To było temu powodem, że się tu mowy surowe rozpoczęły, z których do sporów i do gwałtowności przyszło. Burmistrz w swojej zjadłości kazał katowi, aby proboszcza do jak najgłębszego szybu wtrącił, czego jednak inne osoby, które właśnie na szczęście nadeszły, tego nie dozwoliły.

W tym właśnie czasie nadjechali konno Wincenty, Proboszcz z Chorzowa i czci godny Ojciec duchowny Jacek z Rozbarku. Obaj powracali z lasu Miechowskiego, gdzie miejsce na wybudowanie kościoła i folwarku obierali.

Pelen świętej gorliwości, zajęchał O. Jacek pomiędzy burmistrza i proboszcza, zsiadł z konia i kazał księdzu, aby nań wsiadłszy, z proboszczem corychlej ujeżdżał. Potem stanął na kupie ziemi i wołał o zemstę do nieba na zuchwalca, który się poważył, rękę włożyć na pomazańca Pańskiego. Po oddaleniu się Proboszcza zdały się być umysły uspokojone. Ojciec Jacek przeto udał się do pustelni swojej nad źródłem, który w długie lata jeszcze się imieniem jego nazywał. Dziś naturalnie już nie masz jego śladu — był on źródł opodał kościoła ś. Jacka na Rozbarku. Tymczasem burmistrz Fabrycy miejskiego cechmistrza surowo wypytywał, coby za sprawę miał ks. proboszcz u niego? Ten zaś w obawie, wszystko opowiedział o co się ksiądz pytał, na co cały się magistrat na nowo gniewem wielkim zapalił, mając za niewątpliwe przekonanie, że ks. Proboszcz w samej rzeczy i od kruszców srebrnych o dziesięcinę upominać się będzie. „Nie damy mu jej teraz ani na potomne czasy!“ tak brzmiało i wrzasło hasło jednym głosem, każdy albowiem o swoim tylko zysku myślał i na żaden sposób nie chciał się dać nakłonić, aby cś też na rzecz ks. proboszcza ofiarować.

Burmistrz i radzcy gdy na ratusz powrócili, obrali z pomiędzy siebie posłów, do księcia Oleśnickiego w imieniu miasta udać się mających. Książę skłonił chętnie ucha swego na ich wnioski i uczynił im nawet więcej, jak od niego żądali. Kazał odebrać ks. proboszczowi dwie włóki roli, które po większej części dochód jego stanowiły, a nadał je jednemu młynarzowi w dzierżawę i polecił mieszczanom aby do kościoła św. Małgorzaty uczęszczali i tam daninę oddawali. Nie potrzeba im było tego dwa razy mówić — bo już i tak mieszczanie większą częścią na nabożeństwo więcej do św. Małgorzaty, jak do kościoła farnego chodzili, odtąd zaś nikt już kościoła farnego nie odwiedzał. Z drugiej strony skarżył ks. proboszcz u księcia Cieszyńskiego, a ten nakazał miastu, ażeby ks. proboszcza swego w prawach jemu nadanych nie uszczuplało. Parafianie nie słuchali jednak nakazu tego, a na nieszczęście dla ks. proboszcza, umarł wkrótce potem książę Cieszyński.

Czcigodny Ojciec Jacek był jedyny, co się za uciemiężonym ujął i przynajmniej obywateli Rozbarku naprowadził, że mu należytość jego dawali. Za radą jego przyjął ks. proboszcz Piotr wikarego, imieniem Mikołaja z Pyskowic, za pomocnika i zastępcę swego, a sam udał się w podróż do Rzymu, chcąc tam szukać sprawiedliwości.

I tam ją znalazł — ale powrócił dopiero po dwóch latach i to pelen ciężkich trudów i niewygód do domu, do Bytomia. Jak stałe przedsięwzięcie i jaka wysoka mężność do tego należała, aby podróż takową w czasach owych pieszo, w braku gościńców i znajomości traktów i bez pieniędzy podjąć? Zaprawdę wielkie to było zadanie i przez hojne tylko zasiłki w klasztorach i u księży świeckich, podobną do wykonania rzeczą, mu się to stało, przy czem ufność na sprawę swoją dobrą, ducha jego podpierać musiała.

Z początku miewał ks. kapelan Mikołaj w pobożnej gorliwości kazania w kościele farnym. Jednakowoż majątniejsze familie i członki rady zaraz przy wstępie na urząd jego, przeciw niemu były. Wykładali oni wszelkie jego napomnienia chrześcijańskie za dosady uszczyplive i zaczepki osobiste i postarali się o to, że kościół farny wcale zamkniętym został. W kaplicy tylko na Rozbarku odprawiał jeszcze ks. Mikołaj nabożeństwo i miewał kazania, dla czego też odtąd kapelana Bytomskiego zwykle „Proboszczem na Rozbarku“ nazywano.

Ojciec Jacek poszedł był tymczasem do Krakowa, chcąc tam u Biskupa i króla Kazimierza trzeciego, wyrok pomyślny dla proboszcza Bytomskiego wyjednać.

Wszystkie jego usiłowania zostały jednak bezskutecznemi, król Kazimierz był na ów czas z Moskalami w wojnę wplątany, a Biskup

prawie urząd swój złożył. Akademia zaś krakowska, u której także pomocy szukał, była w owym czasie bez wszelkiej władzy.

Wielebny Ojciec Jacek musiał poprzestać zamiaru swego i podjął się w potrzebach zakonu swego podróży do Prus, Pomorza, Szwecyi, Norwegii i Danii. Gdy tedy proboszcz Piotr z Rzymu powrócił, znalazł kościół zamknięty i całe mieszczaństwo przeciw sobie bardziej aniżeli przedtem rozdrażnione. Nieprzyjacielem jego podróż tę uznawali za zbrodnię, i oddalali serca wszystkich obywateli od niego, a proboszcz św. Małgorzaty wazedł z gwardyanem klasztoru Minorytów (w roku 1258 wystawionego), ojcem Sylwestrem, w ugodę, udział z Proboszczem Chorzowskim, przy kościele ś. Ducha mieszkającym, który w miejsce ks. Wincentego do pozwanego klasztoru, Miechowskiego wstąpił. Udało się obóm, że lud Bytomski do swych kościołów przyzwyczajali, a to tem łatwiej, że tam mniej ofiar dawać i podług swej woli, każdej godziny na nabożeństwo chodzić mogli.

Gdy więc ks. Proboszcz Piotr wyrok Papieża magistratowi nadesłał, kościół farny otworzył i przededrzwiami kościelnymi kraty żelazne położyć dał, aby bytło rogate, czarny dobytek, króliki i psy świątyni nie plugawiły wszczął się rozruch powszechny w Bytomiu. Zabrzmiało głośnie i przeraźliwie dzwon na gwałt z wieży miejskiej, radcy zgromadzili się spie-

sznie w sali sesyjnej; a cechy: rzeźników, tkaczy, kowali i krwawców zebrały się na rynku i wystawiły strażę przy bramach i na wieżach muru miejskiego, jakoby nieprzyjaciele uzbrojeni, np. Tatarzy lub Turcy miastu niebezpieczeństwem zagrazali. A tu tylko dwóch i nieuzbrojonych księży było, na których się tak gotowano. Magistrat zgromadzony posłał chorążego miejskiego, Klukowieckiego i sługę ratusznego, Kanicką, aby księży na ratusz wezwali. Uczynili to posłańcy z wszelkimi zwyczajnymi okolicznościami owych wieków i odpowiedzieli też mieszczan zagniewanie.

Rzekł wtedy ks. Proboszcz do kaznodziei i pomocnika swego: „Bracie w Chrystusie i współpracowniku mój! weźmij Ciało Pańskie ze sobą, N. Sakrament, a idź do nich, może Syna Bożego czcić będą i tak się uspokoją.“

Kapelan uczynił według rozkazu, wziął monstrancyą i chciał się udać z Przenajświętszym Sakramentem na ratusz. Jednocześnie wysłał ks. Proboszcz zakrystyana na wywiady, który ałoli niezadługo z wiadomością powrócił, że wszystkie bramy zawarte są.

Pobiegł wtedy śpiesznie ks. Proboszcz do piwnicy mieszkania swego, odtoczył beczkę w kącie stojącą na bok, otworzył drzwi spustne do wyjścia tajemniczego i biegł w lewą stronę obok przedmieścia Gliwickiego do lasu Gaj wiodącego. Obawa przyspieszyła kroki jego, wkrótce jednak zabłądził, uderzył na

fiar wysterczony i upadł, niemogąc już władać zmysłami swojemi. W takim stanie znalazł Proboszcz Anzelm nieszczęśliwego, który, będąc pełen oczekiwania względem zakończenia tej sprawy, znanym chodnikiem, z latarnią w ręku, w to miejsce nadszedł. Obaczywszy tak brata swego bez pomocy leżącego, chciał się już w poruszeniu czułości i litości oddać i onego w pieczarach krętych i obszernych ukryć. Nagle jednak i z wrzaskiem gwałtownym zbliżyli się szukający Proboszcza mieszczanie: Mokara i Błotnica, których światło Proboszcza na prawy tor naprowadziło. Skrępowali oni bez wszelkiej litości męża nieszczęśliwego grubemi powrozami i wywlekli go drzwiami przez piwnicę burmistrzową, a ztamtąd aż na ratusz. Powietrze zmienione obudziło życie zagasłe — lecz na jakie straszne widowisko!? Ciemno spoglądały na niego czarne ściany sali ratusza, a ciemniej jeszcze gniew na zapalonych twarzach uzbrojonych ludzi, pęta biednego więźnia jeszcze mocniej przyciągających.

W cichej modlitwie obejrzał się więzień, a tuż przy boku jego leżał wierny jego kapelan Mikołaj, — powiązany, bliski już śmierci, gdyż miał chustą usta zatkane. Mocny w czułości swych obowiązków i w mocnej nadziei na pomoc Boga, chciał on wniść na ratusz z Przenajświętszym Sakramentem, był je-

dnak od tłumu zgromadzonego zatrzymany, powiązany i tak na ratusz wprowadzony.

Za radą chytrą, szukającego zysku własnego, nieszczęśliwego ks. Proboszcza Anzelma, sprowadzono następnie skrzynię z zakrystyi i zniszczono przywileje kościoła farnego. Ks. Piotr gniewem sprawiedliwym uniesiony, zebrał teraz ostatnie siły swoje i wyrzekł klątwę nad zbrodniarzami i nad całym miastem, — Z łoskotem okropnym przerwano mowę jego i zatkano mu usta. Mimo tego, te nieszczęścia pełne słowa, sprawiły wielkie odurzenie pomiędzy obecnymi.

Ks. Anzelm, posłał natychmiast po gwardyana klasztoru minorytskiego, a tenże wyłożył sofistycznym, to jest przesadzonym wymysłem, klątwę tę za nieważną, ponieważ jej Proboszcz trzy razy nie wymówił, ani słowem „Amen“ nie potwierdził. Dodawał im gwardyan otuchy, mówiąc: „Nie bójcie się!“ my Minoryci nie pokładamy żadnej wartości w dobrach doczesnych; my nie utracić nie możemy, dla tego nam też nigdy na myśl nie przyjdzie, żebyśmy wam nabożeństwa naszego życzyć nie mieli. Nie potrzebujecie nam płatów, ani też dziesięciny od srebra dawać.“ — Wrzaskliwem głosem pochwalił magistrat mowę jego. — W tej samej chwili wprowadzono starszego urzędowego przedmieścia Rozbarku, Grzegorza Góreckiego do sali, który usilnie o niezwłoczne posłuchanie prosił.

„Szanowni Panowie“ rzekł on: „my Rozbarczanie sąśmy wiernymi poddanemi łaskawego książęcia naszego na Koźlu; my nie chcemy mieć żadnego uczestnictwa przy gwałcie, którego wy się z prawem Duchowieństwem naszym dopuszczacie; a jeżeli natychmiast księżta uwolnieni nie będą, my ich rękami naszymi uwolnimy!“

Rozjuszony i niepamiętny na dostojność swoją, skoczył burmistrz i wypchnął Góreckiego za drzwi, krzycząc: wy Rozbarscy chłopie! Iżaliż wy nam prawa przepisywać chcecie? Precz z tobą! — Ksiądz Anzelm ułagodził szalonego, usiłując oraz starszego wójta z Rozbarku łagodnemi słowy uspokoić.

Poszedł więc znieważony Górecki i opowiedział na Rozbarku, co się w mieście działo. Za ledwie godzina minęła, zebrało się kilka set mieszkańców rzeczonoego przedmieścia przy kościele Ś. Ducha, mających rozmaite narzędzia, co spokojnych zamiarów nie rokowało. Tym ten chciał furtkę w murze miejskim do ogrodu klasztornego prowadzącą gwałtem wyłamać; wtedy właśnie zabrzmiał dzwon od św. Ducha w poważnem wołaniu na nabożeństwo.

W umyśle pobożnym zapomnieli zgromadzeni wszelkiej złości, udali się do kościoła i słuchali zwyczajnej Mszy św. piątkowej. Nabożeństwo trwało dziś jednak dłużej, jak zwyczajnie, albowiem ksiądz Wawrzyniec histo-

ryą założenia kościoła S. Ducha i szpitala do niego należącego, następującym sposobem opowiadał:

„Było to w drugie Święto Zesłania Ducha S., roku 1198, mówił ksiądz poważnie, — gdy rota polskiej konnicy pod bramę krakowską, miasta naszego Bytomia nadjechała i o wolny wstęp i nocleg prosiła. Według wieści ludu pospolitego, wołał posłany naprzód Herold na straż wieżką. Ta zaś zapytała: „Któż jesteś?“ Nastąpiła odpowiedź: „Swoj!“ a straż odrzekła: „A tóż tam do rana stój.“ Poczem dalsze nalegające prośby nastąpiły. Magistrat odmówił jednak obojga, albowiem był troskliwy, żeby większe tłumy obcych nie weszły i miasta nie wyrabowały. Żołnierstwo przybyte rozłożyło się niedaleko młyna, na pagórku zielonym. Z miasta dostarczono im zatem namiotów i żywności, ponieważ się jeden z jeźdźców Wojciechem, opatem bogatego klasztoru polskiego z Miechowa. mianował.

Gdy dnia następującego z miejsca ruszyli, mówił jeden z jeźdźców do opata: „Ach! pragnę sobie serdecznie, żebym też mógł to miejsce, na którem nocleg pierwszy na cudzym gruncie miałem, uwiecznić wystawieniem kościoła! Nie jestem ja tego godzien! O jak ciężko mi w ucieczce opuścić ojczyznę moją. — Zastanowił się mówiący rycerz w głębokich rozmyślaniach, które Czcigodny Opat o-

bietnicą, że on życzenie tak żywe jego uskuteczni, rozpędzić usiłował.

Gdy w podróży swojej ku Opolu do księcia Władysława przybyli, zwierzył się temuż Wojciech z życzeniem męża tego, którymu towarzyszył. Bogobojny i pobożny książę kazał niezwłocznie wystawić kościół z drzewa pod wezwaniem Ducha Ś. na tem samem pagórku i oddał go pod opiekę opata w Miechowie pod warunkiem: ażeby dochody z Chorzowa i Dębu, które przodkowie zakonowi jego darowali, na utrzymanie kościoła tego używane były.

Chętnie zezwolił na to szlachetny opat. Gdy zaś po upływie jednego roku ów rycerz polski, który był Władysławem Łokietkiem, królem polskim, z pielgrzymki swej do Rzymu powrócił i na tronie swoim ojcowskim osiadł, został staraniem jego, przez zakonników Miechowskich i szpital przy kościele S. Ducha wystawiony i jeszcze niektórymi gruntami uposażony. Stało się to roku 1299. — Tyle o kościele S. Ducha, w którym się znajdujemy nabożni moi zgromadzeni!“ Z temi słowy zakończył książdz Wawrzyniec nabożeństwo.

Zaczem głos dzwonu S. Ducha ludowi z Rozbarku był głosem pokoju, był on obydwóm nieszczęśliwym księżom na ratuszu Bytomskim brzmieniem śmiertelnem. Nie bawił się magistrat długo, lecz wyrzekł spiesźnie nad pomażanćcami Pańskimi wyrok śmierci!

Wywiedziono ich raptem bramą Górską — albo raczej Miechowską — ponieważ wtedy jeszcze miasto Tarnowskie Góry całe nie istniało, podle szubienicy za przedmieście Gliwickie, aż do stawu S. Małgorzaty. Niedając im ani tyle czasu, żeby przynajmniej jeden pacierz zmówić, lub kilku słowy z tym światem pożegnać się mogli, wrzucono niewinne ofiary w potoki. Ks. Proboszcz Piotr utonął natychmiast, kapelan tonął także i zdało się, że już bój ostatni wykonał.

Już się gromada rozchodziła, w tem obejrzał się jeszcze nazad syndyk Wojtacha, i postrzegł, że się ks. Mikołaj powoli z wody wydobywał. „Patrzajcie! krzyknął — patrzajcie! jeden nazad wyłazi. Natychmiast wrócił się lud i uchwycił kapelana, dziwnym sposobem rozwiązanego. Nieszczęśliwy prosił daremnie, aby mu życia jego tak długo szanowano, póki by im cudu o Najświętszej Pannie nie opowie, którą właśnie przy utonieniu Proboszcza widział, jako Ona ze szatanem Szarlejem zwanym, walczyła.

„Prędko!“ kiwał złośliwy syndyk, a kat wtrącił go powtórnie do stawu. Kapelan jednak, który w strachu przed śmiercią! nowo założone powrozy rozerwał, walczył rozpacznie, ile mu tylko siły jego wystarczały. Kat bezbożny, niemogąc go zanurzyć, wziął topór i

uderzył go po trzykroć w ramiona i tak ciężko ranił, że zamordowany utonął.

Widok krwi ochłodził zajądlność rozjątrzonego gminu. Złe sumienie odezwało się już teraz powszechnem oburzeniem, a w tej chwili nadzedeł Ojciec Jacek, prowadzący obywateli Rozbarku. Ledwo ci obaczyli, co się za okrucieństwo stało, zaczęli żałośnie krzyczeć i uniesieni gniewem sprawiedliwym, uderzyli na mieszczanów. Lecz Jacek skinął giestem świętym i rzekł: odstąpcie precz od przeklętych! — Pomagajcie barankowi zakrwawionemu! i kapelan, jak wieść niesie, został jeszcze przez Rozbarczanów z wody wyciągnięty.

Niby błyskawicą piorunową wskroś dotknięte, uspokoiły się umysły poruszone, a starszy Górecki, wójt Michał Kochłowski, i ławnik Kneflikowski, zanieśli ciężko poranionego księdza Mikołaja do folwarku Rozbarskiego, Klukowiec zwanego, następnie zaś, podług podania ludu, do pustelni obok ich kościołka, gdzie, niegdyś miał stać dąb ogromnej wielkości, w którym nim światło chrześcijaństwa w tych okolicach zajaśniało, złe duchy przemieszkować miały. Za wspomnionemi urzędowemi osobami szli wszyscy Rozbarczanie i niektórzy obywatele z miasta, których jeszcze przychylność do księży swoich w sercach tkwiła.

Na miejscu zgroźnej zbrodni panowała głucho cichość — nikt nie odważył się słówka

przemówić. Przeleciało wtedy hurmem stado sroków, okropny wrzask czyniących, a z probostwa S. Małgorzaty (w on czas wodą otoczonego i okopem wysokim do koła opasanego) widziano wylatającą sowę, na którą sroki nacierały. Ojciec Jacek chciał właśnie mówę zacząć, ale mu wrzask przeraźliwy ptaków przeszkadzał. Zawolał więc uroczyście na nie: „Uciekajcie na zawsze z tej okolicy!“ W okamgnieniu, podług podania ludu uleciały ztamtąd sroki i od dnia tego około Bytomia już się żadna widzieć nie dała. Obrócił się potem mąż święty do ludu drżącego i mówił: „Słuchajcież i uważajcie, co wam oznajmię: Kruszcze srebrne oddaliły serca wasze od Boga, i otworzyły się marnej mamonie — jesteście bogaci, lecz panowania choiwi, staliście się ekrutnikami; dla tego też obecnie błogosławieństwo to zniknie, i dopiero się zaś po niejakiś czasie pokaże, kiedy pokolenia wasze wygasną!“

„Zaprawdę! — chociażby się po stuleciach zdrój błogosławieństwa górniczego zasię stworzyć miał, nigdy już mury miasta waszego kłatwą nabrzmiałego srebra nie zobaczą. Potomkowie wasi znajdą w dobywaniu i zysku, mniej wartości mających kruszców nagrodę za to, co się straciło, wierzcie jednak słowom moim prorokującym! nigdy im się nie zdarzy, żeby owoców swej pracy bez uszczerbku używali — będą je musieli dzielić z obcemi przy-

chodniami, a to będzie skutkiem klątwy, którą okrucieństwo dzisiejsze na głowy wasze sięgnęło. Odbierzcie tę karę, którą Bóg waszemogący na was i dzieci wasze dopuścił! Nawróćcie się i czyńcie pokutę! Nauczcie się pogardzać dobrami dla zbawienia dusz waszych nieśmiertelnych, abyście przy sądzie ostatecznym przez pokutę oczyszczeni, przed tronem Boga sprawiedliwego stanąć mogli, a Bóg się nad wami zmiłuje.“

Za każdym słowem podnosił się głos Oczigodnego kapłana i wzruszał serca głęboko zbrodniarzy rozczulonych. Gdy mowę swoją kończył, widzieli, jak twarz jego jaśniała i zalało się im: jakoby Anioła przed sobą mieli. Wszystkie następne wypadki tej zgrozy przedstawiały się każdemu żywo przed oczy. Ani słowo, ani żaden głos nie wykradał się z pierś ścianionych, owzem z głową pochyloną i wzrokiem ku ziemi spuszczonej, kwapili się niebezpieczną drogą przeczuwający mieszkańcy do domów. O. Jacek nawiedził jeszcze ostatni raz celę swoją nad bystrym źródłem. Niezadługo widziano go nad nim, za nieszczęśliwe miasto gorąco się modlącego. Tu rozerwał mu się sznurak Różańca jego, a paciorki rozleciały się po piasku czerwonym i mięzały się z wodą sączącą, tak, że ich nie można było pozbierać. — „Bośnijcież!“ rzekł mąż święty, „aż za czasem źródło ten sączyć przestanie.“ Po tych słowach powstał i już nie był nigdy tu widziany.

(Opowieść ludu mówi, że źródło czyli źródło to S. Jacka było w kamieniu kruchym, w którym cząstki (Enevinitem) kilkorga gatunku się znajdowały i wodą wypłukane były. Miały one wielkość ziarnka grochowego, postać kamienia młyńskiego i były z takiego kamienia, w jakim się znajdowały. Długo czas znajdowano rosnące te paciorki i przechowywano, tak, że dziś jeszcze jedni drugim je ukazują.)

Ojciec Jacek poszedł potem w dalekie kraje, nauczał nad czarnem morzem i aż do granic chińskich opowiadał Ewangelią; nakoniec powrócił do Krakowa, gdzie życie swoje świątobliwie zakończył.

Ksiądz Mikołaj umarł dnia trzeciego na Rozbarku. Tak długo też tam zakrystyan kościoła farnego, Bernardy Worpicki, bawił, poczem zamierzył sobie pielgrzymować do Rzymu, w celu sprawozdania przed Ojcem świętym, o tym co się w Bytomiu stało. —

I z odwagą, mężką wykonał on swój zamiar.

Bojaźń przed gniewem boskim wisiała nad głowami miasta Bytomia, jakoby ciężka chmura nawałnicą napełniona. Niestety! wkrótce i nędze wszelakie przyszły na to miasto. Dręczeni wyrzutami sumienia radcy tego miasta odważyli się i oni, a mianowicie czterech z nich, pomiędzy którymi i syndyk Wojtacha, udać się do Rzymu i tam o rozgrzeszenie błagać głowę widzialną Kościoła świętego, Papieża.

Aleć tam oni zostali na dożywotnie ostre więzienie osądzeni i nigdy już miasta swego rodzinnego nie obejrzeli.

Kłatwy, błyskawica, przez Papieża rzucona, ciężko miasto Bytom razily. Utraciło one kilka przywilejów i kolaturę kościoła farnego. Kościoły miejskie były pozamykane i na próżno wdychali mieszczanie, dzieci ich i wnukowie o posiłek chrześcijański. Miasto przyszło nagle do upadku, wszelka staranność dawniejsza ustała.

Ledwo że kilka tygodni po owym nieszczęsnym dniu mordów upłynęło, otworzyły się wody podziemne w kopalniach; daremne były wszelkie prace, zatrzymać zalewy. Wszystkie żywiły zjednoczyły się niby ku temu, ażeby nieszczęście miasta uzupełniły. Pożar (ogień) okropny spustoszył w tym jeszcze roku miasto, a burmistrz Fabrycy zgorzał we własnym swoim domu.

Niektóre szczątki trupa jego były przed klasztorem Minorytów pogrzebione. Nie minęła kara Boska i proboszcza Anzelma. Był on właśnie wtedy w chodniku podziemnym i już się nigdy więcej nie pokazał. Według domniemania, był to szkielet (kościotrup) jego, który po upływie blisko pięciu set lat, przy kopaniu gruntów, z latarnią rogową znaleziono.

Za przyczyną Opata klasztoru S. Wincentego we Wrocławiu, zniósł nareszcie Ojciec św.

w Rzymie, po siedmiudziesięciu latach nędzy i smutku, klątwę kościelną.

Jak straszne były następstwa tej klątwy w Bytomiu, doczytujemy się z dzieł historycznych, że z Bytomianami nie wolno było nikomu żadnego utrzymywać społeczeństwa i podług gminnej, a do prawdy stosującej się tradycyi, rzeczy, bez których się mieszczenie w tym czasie obejść nie mogli, dowożone im bywały, ale tylko do granic gruntów miejskich. Opis strasznej tej niedoli, ma się jeszcze znajdować w Bytomiu, atoli go żadnym sposobem na widok publiczny wydostać nie można. — Ci bowiem, co go posiadają, nie wiedzieć z jakiej przyczyny w ukryciu go zachowują.

Kościół farny z kolaturą (czyli prawem stanowienia proboszcza) był w tym czasie księzom Wincentynom oddany i oni to z klasztoru swego wysyłani, mieszkali w mieście przy kościele Wniebowzięcia Najśw. Panny Maryi.

Kościół ś. Małgorzaty stał się już tylko kościołem pogrzebowym, gdzie się ze wsi przynależących do parafii Bytomskiej chowają, albowiem tylko Rozbarczanie, jak się już wyżej nadmieniło, na cmentarzu ś. Trójcy w mieście, z mieszczanami pogrzebać się mogą. Z budowli probostwa powstały folwarczne pomieszkania i gmachy, staw zaś tamtejszy wysuszył w czasach niedawnych ostatni proboszcz z zakonu księży Wincentynów, nazwiskiem Nawrat.

Z czasem więc gdy lud odpokutował za winy przodków, miasto to przyszło znowuż do swojej okazałości, a chociaż kopalnie srebra, jak zapowiedział w mowie swojej Q. Jacek, już się więcej nie otworzyły, dał jednak Bóg miastu Bytomowi i jego okolicy kopalnie innych kruszców, które nie tylko, że zamożnemi uczyniły swoich mieszkańców, ale dawały pracę i mianie wielu tysiącom przybyszów, z rozmaitych stron świata tutaj dążących, o czem dobitnie głosi następujący pomieszczony tu obok wiersz.



Piekary.

W Górnym Szląsku Bytom słynie,
I Bytomski powiat cały,
Że się ludziom w tej krainie,
Wielkie skarby uchowaly;

Lud też dzielny i uczciwy
Tysiącami tu pracuje,
Cudzoziemiec widząc dziwy,
Staje, pyta, nie pojmuje:

— Cóż to znaczy, gwar od rana!
I huczące te maszyny!
Ziemia w szmaty poszarpana!
I ogromne te kominy?

— Doły tutaj, są to „szyby“,
Albo „szachty“ jest ich miano,
Aby z nich, jak z studzien niby,
Zamiast wody, kruszec brano.

„Galman“ na cynk się dobywa,
Na żelazo znowu „ruda“,
Węgiel, ołów, srebro bywa,
Bo są w ziemi różne cuda.

Praca przytem zdrajna bardzo,
W każdej chwili śmiercią grozi,
Lecz górnicy strachem gardzą,
By był węgiel, gdy mróz mrozi.

Wszystkie te zaś materyały
Są nam dane z daru Boga,
By zarobek ludy miały,
Gdy ich ciśnie bieda aroga.

I nie od dziś te roboty
Są ucieczką dla człowieka,
Już od wieków, głód czy słoty,
Tu zarobek pewny czeka.

Więc Bytomski kawał ziemi,
Kędy lud nasz kopie z dawna,
Zasian był też i cudzemi,
Bo tu ziemia z kopalń sławna.

Osiadali gromadami
Obcy ludzie do okola,
Nie pracując w ziemi sami;
Przecież jednak w pocie czoła.

Zarabiając też na życie:
Ozechy, Niemcy, nie próżniacy,
W złym czy dobrym żyjąc bycie,
Zaden się nie lenił pracy.

Więc piekarzy raz w gromadzie,
Osiedliło się bez miary,
Ztąd jest imię tej osadzie,
Która zwie się dziś: **Piekary.**

Z wierszu obok tu pomieszczonego widzimy, jaki był początek wsi, zwanej **Piekary**, której nazwa *Niemieckie* dodaną została raz dla odróżnienia jej od „Rudnych Piekar“, położonych przy Górach Tarnowickich, oraz od wsi „Piekary“ położonej w Wielkopolsce, o ćwierć mili od miasta Gniezna, również i dla tego nazwano wieś tę *Niemieckimi Piekarami*, że w tem miejscu, jako w pobliżu miasta Bytomia osiedlili się gromadnie piekarze Niemcy i piekli chleb dawniejszym jeszcze kopać srebrowi, póki takowe było, w około Bytomia, który jest jednym z najstarszych miast na Górnym Szląsku.

Ludziom pracowitym, tak w mieście samem, jak i w całym Bytomskim powiecie przed wypadkami, o których wyżej powiedzieliśmy, dobrze się powodziło, dorabiali się grosza, żyli zdrowi długo, i nawet ręka Boska chroniła ich od takich strasznych nieszczęść, jakie po różnych kopalniach często bywają, gdy na-

stąpi wybuch i mnóstwo górników życia pozabawi.

Pobożny i pociągły lud zatem okoliczny postanowił na okazanie, iż wdzięczny jest Bogu za Jego świętą opiekę, wybudować we wsi Piekarach kościółek wedle swej skromnej możliwości.

Było to bardzo dawno, bo jeszcze w roku 1303, jak starzy ludzie miejscowi opowiadają co od ojców swoich, a ci znów co od dziadów i pradziadów o tem budowaniu słyszeli. Miało to być tak, że naprzód wybrano na budowanie miejsce na pagórku zwanym Cerekwica, w pobliżu Piekar dokąd też ludzie rozpoczęli już zwozić materiał budowlany na to miejsce. Ze zaś wzięli się ochnocze do roboty, więc pierwszego zaraz dnia zwieźli sporo materjału. Ale nazajutrz rano na pagórku nie było nic..., a za to w samych Piekarach, w pośrodku wsi, leżało to wszystko drzewo w ogromnych sztukach, które z pagórka znikło. Oczywiście zdumienie wielkie ogarnęło całą okolicę i jednocześnie postanowiono że kościółek tam stać będzie, gdzie się drzewo nagle zjawiło tak cudownym sposobem. Jakoż tam właśnie zbudowany został kościół z drzewa sosnowego, pod wezwaniem św. Bartłomieja Apostoła, a w pięć lat po rozpoczęciu budowy był poświęcony.

Po lewej stronie kościoła, przy zakrystyi zbudowany był ołtarz i oddany ku czci Nie-

pokalanego Poczęcia Najświętszej Boga-Rodzicy, Panny Maryi. W ołtarzu tym umieszczono obraz Najśw. Boga-Rodzicy Panny, Maryi, wymalowany na tablicy lipowej na dwa łokcie długiej i odpowiednio szerokiej. Wizerunek Najświętszej Panny na tym obrazie miłosiernie na wszystkie strony świata patrzącej, wielkie zawsze sprawiał na ludziach wrażenie. Najświętsza Panna przedstawiona jest tak, że w prawej ręce trzyma jabłko, na lewej zaś płaszczykuje małego Pana Jezusa, rozkosznie na Matkę swą patrzącego.

Niezwykły to pędzel malować musiał ten obraz i musiało w nim być coś dziwnego, kiedy ludzie od samego początku zaraz gromadzić się tłumnie tu zaczęli, aby modlić się u stóp tego właśnie ołtarza, w Obraz ten się wpatrując. — A wszystkich zastanawiało, że każdy człowiek inaczej Obraz ten widział. Bo jeżeli przyszedł człowiek pocziwy a nieszczęśliwy, i modlić się począł serdecznie, to wyraźnie widział dobrotliwy i miłosierny wyraz w oczach tego cudownego Oblicza, a po serdecznej modlitwie zawsze pocieszonym odchodził ów nieszczęśliwy. Gdy zaś przyszedł ktoś z nienawiścią w sercu do bliźniego swego, to choćby się i najbardziej modlił, Obraz surowo, i smutno wyglądał, tak, że ów człowiek aż oczy swoje spuszczać musiał i częstokroć odszedłszy, nagle się potem z bliźnim swym pogodził. Gdy kto znów przyszedł tra-

piony jakim złym nałogiem lub grzeszną chęcią, to widział taką żalotę nad grzesznikiem w twarzy na tym Obrazie, że zaczął się modlić coraz żarliwiej i z coraz mocniejszemi bijącym, z dziwnego wzruszenia sercem, aż się nieraz w głos rozplakał i wyrzekł złej myśli i chęci swojej od razu, albo też wróciwszy z płaczem do domu, znalazł w sobie niespodzianie jakąś siłę do wyrzeczenia się złego nałogu.

Takie rzeczy działy się często i ci co byli tego świadkami, głośno o tem mówili, to też z dalekich bardzo okolic ludzie do Piekarni nabożeństwo przychodzili, i dobrze im się działo przez wieki całe, a dopiero zaczęło się dziać gorzej, kiedy grzechy ludzkie przebrały miarę miłosierdzia Bożego, wówczas dopuścił Bóg, że nastąpiło spustoszenie na świecie.

II.

Spustoszenie to nastąpiło w szesnastym stuleciu od Narodzenia Chrystusa Pana, a przyszło ztąd, zkad zawsze przychodzi na świat, z ludzkiej niezgody. Ludzie zaczęli się z sobą kłócić, dopuścili zawisć i nienawiść do siebie swoich i nareszcie zaczęli walczyć ze sobą orężem, całemi gromadami.

Z początku niby to im o to chodziło, jak lepiej Pana Boga chwalić; zapomnieli bowiem o tej starej prawdzie, że ten najlepiej Pana Boga chwali, kto Jego przykazania pełni,

pracuje szczerze i bliźnich swoich kocha i nikomu na świecie, ani mniejszemu, ani większemu, złe nie życzy. — Otóż gdy ludzie o tej prawdzie zapomnieli, to też im się tak w głowach pomieszało, że niezadługo naprawdę już nie wiedzieli sami, o co się biją i kłócą, bo każdy chciał czegoś innego, — a dobrobytem i bogactwami wielkimi, które im w obfite pokłady zaopatrzona ziemia w okolicach Bytomia i Tarnowskich Gór dostarczała, zepsuci, tak się stali chciwymi, że nie już dla nich nie było świętego i wówczas to doszło do takich okropności, że grzechy popełniano jawnie w kościołach, nawet u stóp ołtarzy, nie szanując kapłanów Bożych.

III.

O przeniesieniu cudownego obrazu Matki Boskiej Piekarskiej z bocznego Ołtarzyka do Wielkiego Ołtarza.

Mimo wszystkich złości i nieprawości uczciwi i spokojni ludzie żyli jednak i pod tamte czasy, a jednym z takich był świątobliwy ksiądz Jakób Roczkowski pleban w Piekarach, który kościółka i obowiązków swego wiernie pilnując, gorąco przytem się modlił, o upamiętanie dla ludzi, i wśród długich modlitw a postów, miewał nawet niejakić widzenia. I tak raz wśród modlitwy, gdy spojrzał w górę ku Niebu, ujrzał wraz z drugim kapłanem, dwa światła wy-

raźne, wznoszące się jakby z pagórka Cerekwicy zwanego, i opuszczające się na kościół w Piekarach, potem znowu z nad tego kościoła wznoszące się i opadające ku Cerekwicy i na powrót, co trwało przez całą godzinę. Pleban pomyślał sobie, że jak te światła wstępują i występują z kościółka na pagórek, tak może Bóg da, że i światło wiary i rozumu wystąpi też, i wstępujący lud tu oświeci, i wraz z tym ludem rozejdzie się dalej po świecie. Tak sobie myśląc, ksiądz pleban pełnił jeszcze gorliwiej obowiązki swoje, a najprzód postarał się aby Obraz Matki Boskiej wyjąć z boczne-go ołtarzyka, prochami okopconego, i w wielkim Ołtarzu umieścić. Dla tego to uczynił także, aby lud miał łatwiejszy dostęp do obrazu. Przeniesienie to miało miejsce w r. 1659. Sam zaś ksiądz pleban coraz tkliwiej, a serdeczniej do ludzi przemawiał: i w kościele i gdzie kogo spotkał, aby w nich miłość i wiarę dawniejszą rozbudzić, a każdemu o ile mógł dobrze czynił, gdyż ran i nieszczęść, jak zwykle po spustoszeniu nie brakło. — Co do o-wych zaś światel, to o nich po dziś dzień jeszcze można czytać świadectwo księdza Andrzeja Wiercioskiewicza, natenczas prebendarza Mstowskiego:

„Ja, niżej podpisany, świadczę sumieniem mojem i wiarą kapłańską, że przed 15-tą laty, w nocy około 3-ciej godziny, w przytomności Przewielebnego ks. Jakóba, Ro-

czkowskiego, Plebana natenczas w Piekarach, widziałem światła dwa, nakształt świec, które z górkę Corakwica zwanej, spadały ku kościelowi w Piekarach, i znów wznosiły się w górę, wstępując i wstępując przez całą godzinę. Na świadectwo tego widzenia podpisałem się tu własnoręcznie i pieczęcią stwierdziłem.

W Piekarach, dnia 5. Sierpnia 1678 r.

Ka. Andrzej Wieroszkiewicz

Prebendarz Matowski.

Gdy pleban Roczkowski pracował u siebie w Piekarach nad ożywieniem miłości Boskiej w sercach okolicznego ludu, tymczasem i Biskup krakowski Andrzej Trzebnicki, troskał się o lud w swojej podówczas dyecezyi, i to zrobił, że została wyznaczona misya, i dwaj misyonarze wysłani do miasta Tarnowskie Góry, aby lud ku Bogu nawracali, odwracając go przeto od wzajemnego z sobą walczenia i gniwu. Tarnowskie Góry zaś jest to siedlisko władz górniczych, także w pobliżu Piekar leżące, gdzie prawie, że największe było siedlisko niezgody.

Tak tedy i pleban i Biskup, i misyonarze pracowali wszyscy nad tem, aby ludziom wytłómaczyć, że kłócąc się, a walcząc i nie pracując przytem, sami sobie najwięcej szkodzą, ale ludzie rozchukani wzajem na siebie nie bardzo słuchali, choć już głodem marli, gdyż dla

walki nie było komu orać, ani siał. Aż Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy, uznał, że dopełniona jest miara grzechu, i podniósł straszną różgę kary! Było to r. 1676.

W Tarnowskich Górach wybuchła najprzód cholera; Pan Bóg dał śmierci misyą uspokojenia swawolników i od razu odmieniło się wszystko.

Choroba szerzyła się, a ludzie przerażeniem gnani, wyciągali błagalnie ręce do Boga, prosząc zmiłowania, nawrócenia grozą śmierci, gdy w obec nauk misyjnych nawracać się nie sporo im było. Ale dla bardzo wielu pomocnem było nawrócenie już nie na tym świecie, lecz na tamym. Śmierć kosą swoją kładła sobie u nóg bogatych i ubogich, jak kosarz trawę kładzie, lub zboże. Tak Pan Bóg karze, gdy napominania nie pomagają, gdy ludzie zapomniawszy, że są ludźmi, próbują życie jakby zwierzęta prowadzić, szarpiąc się między sobą na wstyd i hańbę człowieczeństwa!

*

*

*

Na coż się odważasz, człeku, prochu marny?
Przeciw Stwórcy wstając jako duch on czarny!
Skinie Bóg, i ciebie nie ma już na świecie,
Już na sąd ostatni niosą cię zamiecie...

Cóż jeśli ci przyjdzie stanąć po lewicy
I swój wyrok usłyszeć w gromach błyskawicy!
Nawet Bóg sam wtedy nie da ci opieki,
Kiedy sprawiedliwość rzeknie: „Cierp na wieki.”

IV.

*Jak Matka Boska Piekarska stała się ucieczką
zrozpaczonych.*

Jęk, płacz i lament napełniał Tarnowskie Góry; w tem Misyonarze, Ojeowie Jezuici, zapowiedzieli pielgrzymkę do Matki Boskiej Piekarskiej i teraz posłuchano ich od razu, ludzie spieszyli do Matki Boskiej, jak tonący do deski, mającej go wyratować z toni bezdennej. Teraz się dopiero pogodzili Tarnowscy ludzie. Wysocy i nizcy, bogaci i ubodzy, uczeni i prostacy, wierni i niewierni, kto mógł, szedł, kto nie mógł wlec się, na wóz się wgramolił, a wszystko tu ogromną procesją, długim szeregiem, gęstym tłumem, wspierając się jedno na drugim z osłabienia, ciągnęło pod przewodnictwem Ojców Misyonarzy do Piekar, wznosząc ręce do Nieba, kto tylko siłę miał je wznosić, i głośno łkając rzewliwie, o wstawieństwo Matki Boskiej błagał. O tam innowierców wtedy do wiary katolickiej się nawróciło, którzy już wprzód po luteraku, lub inaczej Pana Boga chwalić poczęli tego i zliczyćby trudno. Tak to człowiek pyszny pokornieje w nieszczęściu, i dopiero pokora Niebiosa przebija i gniew łagodni, a tży ludzkie i modlitwy dostają się do stóp Tronu Pana Boga.

W Piekarach uroczyste odprawiano nabożeństwa; aż w tem zaczęły się rozchodzić

wieści, że ktokolwiek się do Piekar ofiarował, do zdrowia przychodził i ślub swój Maryi Uzdrawicielce w Piekarach uczyniony, dopełniał.

Nuż dopiero stał się rozruch wielki, ale taki jakby święte tożnienie wiatru nad omdlewającym ludem przeleciało. Ze wszystkich stron teraz, nie tylko z Tarnowskich Gór pielgrzymi ścigać zaczęli do Piekar, ale kto żyw biegł albo wlec albo ciągnąć się kazał; a takimi tłumami, że okolicę zalegali w okół kościoła daleko, i pleban widząc, że nie wystarczy pracy kapłańskiej, zaprosił sobie Ojców Misyjonarzy do pomocy. Dopieroż Spowiedzie z całego życia odbywały się bezustanku prawie, nabożeństwa, kazania, nauki, procesye... a tymczasem choroba ustawała, a ustawała zwolna... o czem jest i w księgach pisano, i starzy od swoich starszych o tem wszystkim w okolicach tamtych dokładnie mają opowiedziane.

Tedy, gdy tak ludzie wróciwszy na stare ścieżki wiary świętej, zaczęli na nowo stać, a coraz to tłumniej, choć już choroba minęła, do kościoła w Piekarach zdążać, gdy po sto tysięcy pielgrzymów rocznie tu przybywało, gdy w Święto Matki Boskiej po dwa tysiące ludzi przystępowało do Stołu Pańskiego, gdy po trzydzieści osób na raz przybywało tu wyznanie wiary świętej katolickiej czynić, natenczas pleban Jakób Roczkowski tak się pracą, około dusz umordował, że nareszcie poczuł upadek wszelkiej siły cielesnej. Miał on wpra-

wdzię pomoc z Ojców Misyjonarzy, ale zawsze bardzo gorliwie obowiązki własne pełnił, a trzeba pamiętać, że najgorsze czasy wiernie, na służbie Bożej sam przetrwał przy kościele; one czasy, w których się swawola odstępców od wiary świętej tak rozszalała, że aż sam ołtarz prochami okopciła. Zatem to wszystko złe przetrwawszy, i na nowo na drogę wiary owieczki swe wprowadziwszy, uczuł dopiero wierny sługa Boży sił upadek, i prosił władzy swojej, aby go ze służby zwolniła, gdyż pełnić jej dokładnie już nie może. Poczem za pozwoleniem i potwierdzeniem Biskupa krakowskiego, złożył pleban ten urząd swój w ręce Ojców Jezuitów, czyli misyjonarzy roku 1679.

Sprawowali więc odtąd Misyjonarze służbę Bożą w Piekarskim kościele, i obsługiwali tłumy dusz pokornych, uciekających się pod opiekę Matki Boskiej Piekarskiej, w chorobach kalectwach i zgryzotach.

V.

Jak cesarz Leopold I-szy o Obraz Najświętszej Panny Piekarskiej prosi dla Pragi, stolicy Czech, na ratunek w srożącej się tam okrutnej chorobie.

Roku 1680, dla jakiejś winy, obrócił się gniew Pana Boga na miasto Pragę, stolicę Czech, straszną ją powietrzną ratując chorobą śmiertelną. Tysiące ludzi padało, ginąc w okrutnych cierpieniach. Strach błądy organał

Ludność; rozpacz odbierała rozum nieszczęśliwcom; śmierć czarnym sztandarem powiewała nad konającym miastem.

W tej okropnej doli, cesarz Leopold wspominał sobie o obrazie Matki Boskiej, Uzdrowicielce chorych, Pocieszycielce strapionych, w Piekarach, którego sławę, szeroko już roznieśli pielgrzymi, po kraju i za granicą. Nakładziwszy się zatem z Biskupem, rozpisano listy i przez posła wysłano do księdza Szwertfera, rektora Kolegium jezuickiego, prosząc, aby cudowny obraz Matki Boskiej Piekarskiej mógł być posłany do nieszczęsnego miasta Pragi, na jego ratunek, a ku pobudzeniu ludu widokiem tego obrazu w ufności i gorącej do Boga modlitwy. I stało się wedle prośby cesarskiej: że dnia 19-go lutego 1680 roku obraz z Piekar do miasta Pragi został zawieszony, i umieszczony w kaplicy domowej Kolegium św. Klemensa. Zaledwo się to stało; gdy ciężko chory zakrystyan Kongregacyi Niemieckiej, dostawiony przed ten Obraz, po gorącej modlitwie, do której widok Obrazu go pobudził, uczuł zaraz polepszenie w ciele swoim i wkrótce ozdrowiał: co gdy się natychmiast rozgłosiło, bo uzdrowionego cała Praga знаła, tedy lud tłumami obległ małą kapliczkę, domagając się gwałtem dostępu, a wołając w niebogłosy o ratunek do Maryi. Nie było natenczas innej rady jak do większego kościoła obraz przenieść, gdzieby łatwiejszy dostęp był dla

ludu. Jakież za zezwoleniem Biskupa przeniesiono obraz do kościoła Zbawiciela, i umieszczono na ołtarzu pod kopułą, otoczywszy ołtarz mocną kratą.

Natenczas wszystko się to powtórzyło w dużej Pradze, co już wprzód było w małych Piekarach. Obraz sam i kościół i okolice jego oblężone bywały nocą i dniem, od ludu modlącego się i cianącego do oglądania Obrazu. Księża otaczali też ołtarz prawie nieustannie, uroczyste odprawiając nabożeństwa, słuchając lud Spowiedzi, podając mu chleb niebieski na ducha strapionego posilek, nauki i kazania głosząc, dla zachocenia do pokuty i ufności w miłosierdzie Boże nad grzesznikami. Pieśni, litanje, różańce, tłumnie wielkim głosem śpiewano, łkaniem je tylko przerywając, a od trwogi śmiertelnej drząc, a w obraz patrząc, gorejący światłem, niby jak ów ognisty krzak na górze Horeb. I nie tylko od światła gorzał obraz, a także od niezliczonych ofiar złotych, srebrnych, dyamentowych, jakie kto żyw niósł, że aż tablice osobne na pomieszczenie i zawieszenie tego wszystkiego koło Obrazu trzeba było uczynić, a co wszystko jaśniało odbijając blask 34 pochodni, Obraz Matki Boskiej Piekarskiej otaczających. Dnia 10 marca odprawiali Mszę świętą przed tym ołtarzem: Arcybiskup pragski, książę Jan Fryderyk hrabia Waldstein, i Biskup sufragan pragski, de Longa Villa. Podczas tej Mszy świętej magistrat

miasta Pragi Komunią Najświętszą przyjął, zaproszwszy na ten nabożeństwo wszystkich miasta tego obywateli. Tegoż dnia, na początku solennej Mazy wszystkie szkoły wyższe także do Stolu Pańskiego przystąpiły.

Dnia 11-go marca od pierwszej godziny z północy, aż do pierwszej z południa rozmaitych zakonów kapłani odprawiali nieustanne Mazy święte przed tymże ołtarzem. Późno w noc trwały dalsze nabożeństwa. Lud krzyżem leżąc a zmiłowania prosząc, otaczał ołtarz i kościół przepełniał i otaczał go na okolice, a wszystkie serca biły teraz ożywioną nadzieją, bo choroba ustawała, a ustawała widocznie, niby gasnący pożar straszliwy. A w tem, gdy to dzieje się w Starej Pradze, nadeszła prośba od cesarza Leopolda I. aby mógł mieć obraz wniesiony do domowej kaplicy swojej, aby mógł z rodziną swą w spokoju przez trzy dni nabożeństwo, odbywać. I stało się wedle woli cesarskiej. Ale zaledwo przez trzy dni nabożeństwo się odbywało, choroba w Mniejszem mieście ustała, a natomiast w Starej Pradze się ukazała.

Lud starej Pragi ledwo odetchnąwszy krótką chwilą leżał znów w prochu zrozpaczony, jęcząc, a błagając zmiłowania;

Matko! o Matko! spójrz na dzieci Twoje,
Które ci u nóg, leż lejemy zdroje;
Gdzież się udamy gdy nas Ojciec siecze?
W grzechu zrodzone plemię my człowiecze?

Gdzież się udamy, jak nie do tej Matki,
Która za nasze błagać ma upadki?
Ręka ojcowska na Twe prośby mdleje,
W Tobie jedyne nasze są nadzieje,

Winni my winni, lecz na Twoje prośby,
Bóg pofolguje karania i groźby;
Proś że za nami Matko miłościwa!
Któż jak nie Matka w pomoc tam przybywa,

Kędy jęczące dziecko lka ze łzami:
Matko! o Matko! wstaw się za nami!

VI.

Jako Obraz Matki Boskiej Piekarskiej w procesyi uroczystej po trzech miastach był obnoszony, dla tychże miast ratunku.

Wówczas to cesarz Leopold bez odwłoki, naradziwszy się z Biskupami, postanowili, aby na odwrócenie choroby powietrznej, publiczna uroczysta procesya z wszystkich trzech miast uczynioną została, z obrazem Matki Boskiej na czele. O czem natychmiast zawiadamiając wszystkich zakonników, — do trzech miast rozpisano listy, rozkazując je na wszystkich drzwiach głównych zawiesić. I wszystko stało się wedle tych listów szczegółowych.

Najprzód w wieczór dnia tegoż około godziny szóstej zajeżdżał paradny powóz księżny Porcyany i wniesiono doń obraz Matki Najświętszej, który trzymali, wsiadłszy z nim, dwaj Ojcowie jezuici: ksiądz Szwertfer i ksiądz Sereimer. Przed powozem szło dwóch

zakonników i tuż za nimi dziesięciu dworskich księżny Porcyany niosło pochodnie przed powozem. Za powozem jechali najprzód czterej dworscy konno, w rękę czapki trzymając, za nimi szli księża Jezuici po dwóch, a dalej znów za nimi, szły tłumy modlącego się gęśno ludu. Gdy się ten orszak do Nowego miasta zbliżał, zabrzmiały kotły i trąby, a przed bramą ku kościołowi św. Szczepana wyszli i przyjęli Obraz wszyscy radcy Nowego miasta ze swoim ludem, a pan Blacha, naczelný radca miasta, powitał Obraz uroczystą mową w czeskim języku. Potem wszyscy ruszyli dalej, wołając:

Ratuj nas, ratuj, Matko! któraś przybyła,
Z pomocą!

Ratuj, nim wszystkich skryje spólem mogiła
Przemocą!

Witajże nam, witaj pomocy,
Bierz w opiekę naród sierocy,
Ach witaj!

Trąby i kotły brzmiały ciągle, i tak brnąc do kolan w błocie, szli wszyscy do kościoła św. Ignacego, na Nowem mieście praskim. Tuż przed kościołem sześciu kapłanów w komżach i stułach Obraz przyjęli i wnieśli do kościoła, śpiewając Litanię z całym ludem. Po umieszczeniu Obrazu w ołtarzu, nastąpiły kazania, i nauki o jutrzejszej uroczystości, bo dopiero nazajutrz nastąpić miała uroczysta główna procesya, a Obraz po to

tylko do kościoła św. Ignacego przeprowadzono, że porządek tego wymagał, aby procesya z tego właśnie kościoła wyszła, dla łatwiejszego po wszystkich trzech miastach pragskich krążenia. Po naukach, zakonnicy i seminarzyści modlili się porządkiem przed Obrazem przez całą noc. Msze święte zaczęły się zaraz po północy. Najejutr dnia 15 marca stało się wedle owych listów, rozpisanych przez Arcybiskupa pragskiego, prymasa czeskiego, hrabiego Waldsteina, po naradzie z cesarzem Leopoldem i z Biskupami. Na odwrócenie gniewu Bożego, osobliwie na uwolnienie przez przyczynę Najświętszej Panny i Matki Bożej tych trzech miast od zarazy powietrza, rozpoczęło się uroczyste nabożeństwo. O godzinie szóstej z rana, podniosło Obraz Matki Boskiej Piekarskiej dziesięciu kapłanów, Jezuitów, wkomże i stuły przybranych. Procesyą prowadził ksiądz Biskup-sufragan pragski, Ignacy de Longa Villa, z asystencyą liczного Duchowieństwa, w komże i stuły przybranego. Dalej szła cała akademja pragska, i magistraty wszystkich trzech miast, szlachta i wszystek lud. W chwili gdy o godzinie szóstej procesya wychodziła z kościoła św. Ignacego, uderzono we wszystkie dzwony w kościołach Nowego miasta i nie ustawano aż Obraz już po za miasto zaniesiony został. Przy ratuszu Nowego miasta oczekujący kapłani, Augustya-

nie, w komłach i stulach, przyłączywszy się do procesyi, przyjęli obraz i nieśli go sami dalej.

Przy nowej studni, na końskim rynku, oczekujący ojcowie Franciszkanie, przyłączywszy się do procesyi przyjęli obraz i nieśli go sami dalej, aż do bramy miasta Starej Pragi. W tej chwili dzwonić zaczęto we wszystkie dzwony Starego miasta i dzwoniono ciągle póki obraz ze Starego miasta nie wyszedł. W tejże bramie oczekujący Ojcowie Karmelici przyłączywszy się do procesyi przyjęli Obraz i sami nieśli go znów, aż do domu mincarskiego. Koło domu mincarskiego oczekujący Ojcowie Franciszkanie od św. Jakóba, przyłączywszy się do procesyi, przyjęli obraz i sami go nieśli aż do rynku. Na początku rynku przyłączyli się i nieśli obraz Ojcowie Mimi od św. Zbawiciela. Na końcu rynku, u krynicy mniejszej, wzięli do niesienia obraz Ojcowie Serwitowie. Z początku ulicy św. Idziego wzięli obraz Ojcowie Dominikanie do kościoła Zbawiciela go niosąc. Przy tym kościele oczekujący Ojcowie Jezuici wzięli obraz i nieśli, go przez most. Przy zejściu procesyi z mostu, uderzyły wszystkie dzwony Mniejszego miasta i dzwoniły do końca. Przed domem professów wzięli do niesienia obraz kapłani domu professów. U bramy Aradczńskiej wzięli i nieśli obraz Ojcowie Kapucyni. Od nowej drogi nieśli obraz kanonicy ze Strachowa i nieśli go aż ku zamkowi.

Wszyscy ci kapłani i ich nakony w kom-
tach i stulach byli przybrani i wszyscy od-
miejac, na których oczekiwali, przyłączali się
do procesyi zwiększając jej ogrom, bo lud
tam był zgromadzony ze wszystkich trzech
miast pragskich: Starego, Nowego, Mniejsze-
go i z okolic.

Przed mieszkaniem arcybiskupiem, blisko pier-
wszej bramy zamkowej, oczekiwał ksiązę Ar-
cybiskup pragski, infułą i pastorałem ozdo-
biony, a kolo niego dwudziestu dwóch pra-
łatów, którzy ponieśli Obraz dalej. Nareszcie
u bramy w zamku królewskim przyjął Obraz
cesarz Leopold z cesarzową i całym dworem
cesarskim, senatorami i gośćmi i wszyscy spo-
łem poszli z procesyą aż do katedry stołecz-
nej św. Wita, gdzie ksiązę Arcybiskup so-
lenną Mszę następnie odprawił.

Tak to odprawiła się wielka ta procesya,
ale żadne jej opisywanie na nic się nie przy-
da, bo żadne pióro, ani żaden druk, nie mo-
że wypisać ani wyśpiewać tych modlitw, Li-
tanii, supplikacyi, pieśni, łkań, jęków, i bła-
gających westchnień, jakie chórem, wspólnym
głosem wydawała ludność z trzech miast i
okolic, za procesyą tą idącą i ratunku woła-
jąca od Matki Boskiej Piekarskiej.

„Któż wypisze, kto wypowie
Beleść, rozpacz, jęk i strach,
Drgną z litości. Aniołowie,
Dzwony grzmia lud tonie w łzach:

„Spraw niech przejdzie zła godzina,
Zanim śmierć nas zmieni w gład,
Nasza wina, ciężka wina,
Matko Boska ratuj nas!”

VII.

Powrot Obrazu Matki Boskiej do Piekar.

Tegoż samego dnia, 15 marca, rozniósł się przed nocą radosna nowina we wszystkich trzech miastach pragskich, że choroba powietrzna ustaje nagle, bo już tegoż dnia, trzecia część ludzi nie zachorowała z tej liczby jaka padała ofiarą choroby w dniu poprzednie. I odtąd co dnia było lepiej, aż w dni kilka ustało to nieszczęście zupełnie i nie wróciło za sprawą Matki Miłosiernej, a wstawiennictwem jej do Boga.

Tymczasem w kaplicy św. Wacława w pałacu cesarskim, pragskim, odbywały się wciąż nabożeństwa przed ołtarzem Matki Boskiej Piekarskiej, a potem cesarz Leopold przystroił obraz czternastoma wielkimi szafirami z piętnastoma dyamentami, składając ofiarę w szczerości pobożnego serca tak jak i cały lud ją składał. I tak też czyniła cała rodzina cesarska i dalszy dwór. Cesarzowa zawiesiła na szyjce Pana Jezusa naszyjnik dyamentowy z drogiemi dwunastoma gwiazdami. Cesarzowa wdowa wspaniale karbunkuly na czole Najświętszej Panny przypięła. Arcyknięźna Ma-

ryja Anna drogiemi zausznicami Obraz ozdobiła. Hrabina Zinfendorfova 1518 bardzo kosztownych wschodnich perel ofiarowała. Tuni ofiarowali pierścienie złote, i tym podobne najrozmaitsze vota, na znak uczynionych ślubów, i swojej własnej wdzięczności dla Matki Boskiej w obec świata.

Bogactwa też te, któremi przyozdobiono Ołtarz ten cudowny, były tylko dowodem wdzięczności sług Maryi. Matka Boska bowiem nie potrzebuje ziemskich kosztowności, bo najmilszą dla Niej ofiarą jest szczere serce żałujące za grzechy człowieka; ale świat potrzebuje widzieć kosztowne vota na ołtarzach, aby niewierni uwierzyli, że ludzie ofiarujący te vota, doznali cudów łaski Bożej na sobie, i przeto aby niewierni nawracali się na drogę zbawienia. Następnie po uroczystych Nabożeństwach, gdzie wieści przysły z Piekar i okolicy, że lud tamtejszy tęskni i lęka się bez wizerunku Matki swej zostawać, tedy nareszcie pragscy mieszkańcy, aczkolwiek ze smutkiem, obraz ten bogactwami przyozdobiony do Piekar napowrót oddali.

Dnia 24 marca 1680 roku został więc obraz matki Boskiej Piekarskiej w ołtarz wielki w Piekarach włożony, i znowu rozpoczęły się zwyczajne do Piekar pielgrzymki ludu polecającego się wstawiennictwu Obronielki swojej, N. Maryi Dziewicy, Matki Bożej.

W tym właśnie czasie wybuchła także zaraz w Opolu. Opolanie strwożeni ślubowali pielgrzymkę do Piekar, którą też 8 lipca 1681 r. wykonali. Z każdego domu miały pójść trzy osoby. 24 wozów ciągle za nimi.

Później znów przed napadem Tarków, których prowadził Karo-Mustafa, przewieziono obraz ten cudowny do Opola i złożono go u księży Jezuitów tamże, a w Piekarach pozostawiono tylko kopią. Następnie gdy wrócił Obraz tutaj, składał przed tymże oryginalnym obrazem w roku 1697, dnia 27 lipca, August, Elektor saski, na króla Polskiego obrany, wyznanie wiary św. katolickiej. Od tego też czasu, aż do dnia dzisiejszego królewska familja w Saksonii zostaje katolicką.

Przed Szwedami, w r. 1702, dnia 31-go Lipca, schroniono znowuż cudowny i oryginalny ten obraz w Opolu, w kościele OO. Jezuitów, skąd już nie wrócił — dozwolono bowiem, że tam może już pozostać. — Gdy kościół Jezuitów w Opolu zniesiono, przeniesiono obraz ten dnia 3-go Maja 1813 r. do kościoła farnego tamże; — zaś w roku 1852 umieszczono go w bocanym tegoż kościoła Ołtarzu, gdzie do dziś dnia się znajduje.

W Piekarach tedy pozostała kopia tego cudownego obrazu, która tak samo jak i oryginalna zaślęnęła wielkimi cudami i łaskami

— i tak samo jak niegdyś do oryginalnego obrazu, dążą i dziś tysiączne tłumy pielgrzymów ze wszelich stron, w procesyjnych pochodach na odpusta do Piekar — by ucić Matkę Najświętszą w jej cudownym Obrazie i na świętej gorze Kalwaryi rozmyślać boleść i mękę Jej Boskiego Syna, a Zbawiciela naszego.

IVIII

Historja o niejakim Wojtalu, który zguby szukając wśród dworu królowej ziemskiej, znalazł tę zgubę na dworze Niebiańskiej Królowej i w Piekarach.

Dnia 20 sierpnia, roku 1683, Józek Wojtala wracał wczesnym rankiem do chaty swojej w pobliżu Bytomia. Wracał on z Tarnowskich Gór, gdzie całe trzy dni przemarnował na hulance, do której go wciągnęli przyjaciele, ale tacy przyjaciele, którzy to na każdego zamożniejszego człowieka czyhają, aby go do próżniactwa i hulanki zachęcić, a to po to, żeby mu ostatni grosz wyciągnąć z worka.

Wchodzi Wojtala do zamożnej niegdyś chaty swojej, lecz teraz zubożałej już przez częste jego hulanki, wchodzi i nie zastaje ani żony, którą tak kochał, że ją, aż królową swą często nazywał, ani dziecka. Myśląc zrazu, że ją zastanie piastującą dziecko na ręku, jak to już nieraz przy powrocie jego bywało.

Wojtał rozciągnąwszy się na ławie, zaczął na żonę wołać, krzycząc i gniewając się, że mu śniadania podać nie spieszy. Gdy gniewne krzyki nie pomogły, musiał przecież wstać i żonę szukać z coraz większym gniewem; ale na próżno ją szukał, nareszcie, przedstawiając się gniewać, zaczął pięknie prosić jak miał zwyczaj, gdy się bardzo żonie przypominał: „Marysiu! Marysienku, królowo moja, pokaż się, nie tartuj, nie kryj się, bom głodny.“ Żony nie było. Nieraz straszna myśl przyszła Wojtałowi, oto przypominał sobie, że żona groziła mu nieraz płacząc, że, jeżeli on nie przestanie bałamucić się i próżniaczyć w Tarnowskich Górach, i dobytek marnować z przyjaciółmi gorszemi od rozbójników, to ona kiedykolwiek straciwszy rozum z żalości utopi się... wraz z dzieckiem, żeby biedactwa na łaskę ojca bałamutnika nie zostawić.

Zaledwo myśl ta przyszła do głowy Wojtałowi, zaraz poczuł, że była słuszną. Wszystko w chacie było rzucone jak bądź i chata nie zamknięta i chlewiki, obórka, kurnik, po-otwierane szeroko... widocznie rozpacz zła przystąpiła do nieszczęśliwej kobiety, która też rzuciła wszystko, żywym stworzeniom otwierała drzwi, aby z głodu nie cierpiały w zamknięciu, schwyciwszy dziecko, pobięła zakończyć nędzę doczesną, gubiąc duszę na wieki.

Zrozumiawszy wszystko co sprawił swoją głupotą i próżniactwem, Wojtał, który wprzoddy pogrożkom żony nie wierzył, teraz chwycił się oburącz za głowę i krzyczał: „Ratujcie! ratujcie! kto w Boga wierzy.“ Wypadł z chaty jak szalony, pędząc do najbliższej wody, potem do drugiej, do trzeciej, nigdzie żony nie ujrzał, a tak rozum stracił, że kręcił się ciągle po najbliższej okolicy, wracając w te same miejsca, w których był dopiero.

Gdy tak Wojtał pędzi na oślep przez pola krzyząc: „Marysienku! królowo! kędyż jesteś!! w tem uderza ramieniem o poważnego pana, który z po za kępy wiersb zwolna wychodził dróżyną. Pan ten był tak wspaniałej postawy, że Wojtała spojrzawszy nań mimo swego obłędu, przecież ręką sięgnął do czapki i zgapił się do reszty nie znalazłszy jej na głowie.

— A ty czego chcesz od Marysienki królowej? — spytał pan stojąc, bardzo zdumiony. Brak czapki i nowy przystęp rozpaczliwej żalości odejmowały Wojtałowi przytomność prawie ze szczeniem, więc zamiast odpowiedzieć rozumnie, zaniósł się tylko płaczem, krzyząc:

— Marysienku królowo moja kędyżeś ty! spojrz ty oczkiem na mnie nieszczęśnika, je-no raz!

— A to pójdz człowieku biedny, zaprowadzę cię do Marysienki królowej! — rzekł poważny pan ten tknięty w serce żalością chłopca, i zawróciwszy się, poprowadził go.

dyszącego aż z wielkiej nadziei, tam zkąd sam szedł, a idąc, mówił ów pan litościwy wpół do niego, wpół sam do siebie, patrząc na Wojtalę:

— Biedaczysko! spotkało go ciężkie jakieś strapienie, zasłyszał o Marysienke królowej, i bieży do niej po ratunek. Hm,... jakto ludziska zaraz się zwiedzieli o mojej Marysienke.

Tak mrucząc, a idąc spieszenie aż się zasał, bo i Wojtala spieszył naprzód; zaszedł ów wspaniały pan za ową kępinę, gdzie sporo państwa prześlicznie strojnych stało naokoło jednej pani, małej i szczupłej, która siedziała na kłodzie nakrytej pięknym kobiercem, i mówiła z nadąsaną miną:

— Nie mogliście też państwo choć w żywność się zaopatrzyć na tę niespodzianą pielgrzymkę?

Poważny pan przystąpił z Wojtalą prosto do tej małej pani i rzekł do Wojtali:

— Oto Marysienka królowa patrzy łaskawem oczkiem na ciebie człowieku, opowiedzże jej nieszczęście twoje!

Ale Wojtala wystrzeszczył naprzód oczy, a potem krzyknie:

— A macież wy sumienie paniczku kpić ze mnie!

— Ja nie kpię, to jest naprawdę królowa Marysienka! — zapewnił wspaniały pan. Ale chłop krzyknął z płaczem:

Nie moja to jest kobieta! a na coby mnie

takie chuchro, taka szczabka się przydała, toż to tego nie ma co w garść ująć, a moja kobieta jak łania jest. Oj! puszczajta mię niechaj bieżę szukać zguby mojej!

I z ciężkiem łkaniem zawrócił się Wojtala szukać żony na nowo. Ale że się już zmorcował długiem szukaniem i płakaniem, więc nie mógł teraz biedz, i ów wspaniały pan, choć mocno zasapany, przecież dogonił go wkrótce w szczerem polu. Zaczął pocziwe panisko tak łagodnie od serca przemawiać, że Wojtala opamiętał się trochę i opowiedział mu swoje nieszczęście. Pan pokiwał głową, westchnął i rzecze:

— Kiedy tak to wcale co innego, a na to twoje nieszczęście dam ja ci przecież radę. Widzisz i ja mam też moje okrutne zgryzoty i na trudną wojnę jadę, więc przejeżdżając przez Bytom, umyśliłem sobie do Matki Boskiej Piekarskiej się ofiarować, i oto idę; chodźże i ty ze mną. Marya Królowa Niebieska, jest taka można Królowa, że i tobie i mnie zaradzić potrafi, tylko uczynić ślub, że się już bałamucić nie będziesz.

Ledwo to wyrzekł ów pan wspaniały, a już wszelkie obłądy odeszły od Wojtala, jakby ręką odjął: chłop oprzytomniał, za radę serdecznie podziękował, uznał, że mądry pan radził tak prawie rozumnie jak ksiądz i oba żywo szli dalej, prosto do Piekar. A owa mała pani jechała za nimi z daleka, zresztą

państwa, ale oni pierwsi weszli do kościoła i ukłękli przed wielkim ołtarzem. Ledwo ukłękli, aż Wojtala krzyknął radośnie i chwytając burząc kobietę z dzieckiem, klęczącą takgo przed tym ołtarzem.

— Królowo! Niebieska Maryo! otoś mię wywiodła z nieszczęścia mego! przysięgam Ci jakom ślub uczynił, iż się próżniactwa i — wołał potem Wojtala, ręce do Matki Boskiej wznosząc, bałamuctwa odrzeknę! Tak płacząc z radości, wołał, bo kobieta klęcząca z dzieckiem była to jego własna żona.

— Kiedy ciebie Najświętsza Matka Boska Piekarska pocieszyła to pomódl się człowieku za mną, aby i mnie też raczyła pocieszyć, a tu macie na wspomnienie opuszczonego w próżniactwie gospodarstwa — tak powiedział ów pan wspaniały, rozstając się z Wojtalami i potężną garść złota sypnął w chustę zdumionej Marysi Wojtalowej.

Ze właśnie w tejże chwili wchodziła do kościoła mała tamta pani ze wszystkiem państwem, i wspaniałego pana otoczyli, więc Wojtalowie zdumieni i podarkiem i tem państwem, ledwo podziękować jako tako umieli i poszli sobie, nie wiedząc co o tem myśleć! Dopiero później od księdza Proboszcza i innych ludzi, dowiedzieli się, że ów wspaniały pan, był to najprawdziwszy sam król polski, Jan trzeci Sobieski, który Wiedeń bronić od Turków jechał właśnie, i przejeżdżając przez

Bytom, umyślnie do Piekar zboczył i serdeczne tam odprawił modły, wraz z żoną, całym dworem i dziećmi.

Wojtala za królewskie dukaty przyszedł anowemu do zamożności, a tak ślubu dotrzymawszy, taki pracowity się zrobił, i złego towarzystwa unikał, że Wojtalowa trzy razy dziennie Matce Boskiej za tę odmianę dziękowała, a za dobrego króla Jana się modliła.

Pokazało się, że Wojtalowa istotnie owego to poranku wybiegła z chaty, aby się utopić, ale usłyszawszy dzwony Piekarskiego kościołka, nagle oprzytomniała ze swej rozpacz, rozplakała się i pobiegła do Matki Boskiej Piekarskiej, zamiast do wody.

Tak ocalały trzy dusze, a Wojtala szukający zginionej żony swej na dworze ziemskiej królowy, znalazł tę zgubę na Niebieskiej królowy dworze.

Bo owa mała pani, która to w polu na kłodzie, kobiercem nakrytą, siedziała, zmęczony się w podróży do Piekar, była to Marya Kazimiera, żona króla Jana III, ale sama, Francuzka z rodu.

Historja ta nie była dotąd nigdzie napisana, tylko tak ją sobie starzy ludzie opowiadali, nie można więc zaręczyć, o ile jest prawdziwa, bo ludzie lubią przekręcać nie chcący; wszelako za to można zaręczyć, bo to jest w dokumentach napisano, że Jan III. Sobieski, król polski, jadąc gromić Turków,

a Wiedeń ratować, istotnie był w Bytomiu dnia 20 sierpnia roku 1683 z królową swoją, którą zwykle nazywał „Marysieńką“ i że wtedy do Piekar pielgrzymkę odprawił, bardzo pobożnie. Jakoż słynął ten król z pobożności, i w Częstochowie także w tej podróży się modlił. I to także pewnem jest, że państwo ci blisko kościoła w Piekarach obozem stanawszy, przez cały dzień i noc prawie bez pożywienia byli, bo wiedząc o ich na Turka przejeździe i wiedząc, że na Tarnowskie Góry pojadą, urząd miejscowy zwiózł wszystkie zapasy z okolicy do Tarnowskich Gór, dla owego dworu, który prze- to w Piekarach na głodno serdecznie się modlił.

IX.

Historya o nicponiu Walku, parobczaku, ktoremu chciało się krolować, dopoki przed ołtarzem Matki Boskiej Piekarskiej nie dowiedział się, że i król ma obowiązki.

Okolo roku 1697 wałęsał się w Tarnowskich Górach parobek imieniem Walek, młody, tęgı, żwawy, uczciwy, ognisty do roboty, a który mimo tych zalet, taki był dziwny, że nigdzie miejsca zagrzać nie mógł, bo je albo sam porzucił, albo go wypędzono. Działo się to tak dla tego, że Walek chciał wszystko robić po swojemu, tak jak mu się podobało, i wtedy kiedy mu się podobało, co się prze-

cięż żadnemu gospodarzowi podobać nie mogło. Napróżno niejeden chcąc zatrzymać w służbie uczciwego chłopaka, tłumaczył mu po ojcowsku, że powinien codziennie wypełniać jednakowo to wszystko do czego się zgodził na służbę, ponieważ to jest obowiązek parobczaka.

— A kiedy mi się dziś robić nie chce, a jutro za dwóch zrobić mogę! — odpowiadał nygus chłopak, ziewając.

— Czy ci się chce, czy nie chce, trzeba sobie powiedzieć, że do roboty się zgodziłeś i pracować tak jak gospodarz każe, bo to jest twój obowiązek! — odpowiadali mu starzy. Takie rozmowy często się powtarzały aż się Walkowi tego słuchać przykrzyło i bąknął:

— E, co mi tam, najlepiej to być królem.

— Królem? być królem? ty Walek chcesz być królem? pytali wszyscy po chwili, bo zrazu tak się zdumieli, że nikt z początku nic przemówić nie mógł.

— I po cóż ty chcesz być królem?

— Po to żeby robić coby mi się podobało. Przecież król nie ma pana nad sobą innego, tylko chyba Pana Boga, a z Panem Bogiem łatwa sprawa, bo dosyć tylko przykazania zachowywać, i nic złego nie robić, a jak można, to zrobić co dobrego, i już człowiek będzie zbawiony. Najlepiej to być królem. Ej, zostają także i chłopci Świętymi, a Święty więcej przecież znaczy niż król, więc czemużbym ja też królem kiedy nie mógł zostać....

Prawdziwie nie pożałowałbym jałmużny dla ubogich, bo miałbym z czego dawać; i nie czyniłbym niczego, bo dbam przecież o duszne zbawienie; i roboty bym się serdecznie jął nieraz, gdy przyszłaby mi do niej ochota; ale tak codziennie słuchać czyjejś woli i chodzić wedle czyjegoś kierownictwa, niby ten wół w pługu, to ja tego wytrzymać nie mogę, to głupia rzecz.

Gdyby tej mowy wysłuchał ksiądz proboszcz, byłby z pewnością powiedział, że to Pan Bóg właśnie czyni ludzi parobkami, gospodarzami, i na innych umieszcza ich stanowiskach po to, aby pełnili to, co na tych stanowiskach czynić należy, a kto tego nie czyni, ten łaski u Pana Boga nie znajdzie, choćby największe rozdawał jałmużny. Ale ksiądz proboszcz nie słyszał mowy Walka, a starsi gospodarze, którzy ją słyszeli, choć czuli, że Walek źle mówi, to przecież nie umieli mu tego ani raz wywieść słowami. Pokręcił więc tylko ten i ów głową, i bąknął, że Walek mówi nic do rzeczy; młodzi rozśmiali się nawet; chłopaki odtąd nazywali Walka królem, na kpiny; ale mimo to, wszyscy pomyśleli, że może i jest sens w Walka gadaniu; i niejedem młody parobek zaczął odtąd opuszczać się w posłuszeństwie, za przykładem mądrego Walka. Bo ze złemi słowami jest tak, jak z ziarnem, co rzucisz to ci z plonem obfitym wyrośnie. Niekarnych

chłopaków zaczynało się coraz więcej zjawiać w Tarnowskich Górach i w okolicy, — nie jeden może też za przykładem Walka o królowaniu rozmyślał, ażeby będąc królem nie słuchał niczyich rozkazów. A w tem, zaszumiało, zachuczało, i ludzie krzyknęli:

— Król jedzie!

Na ten okrzyk wszyscy rzucili się króla oglądać, a najprzód Wslek, bo ciekawy był jak mówi i co robi? Bo zdawało mu się, że jak się tego wszystkiego napatrzy i wyuczy się tego, to już sam bliższym królowania będzie. Włóczył się więc za tym królem i jego dworem wspaniałym, odpatrywał, wypytywał, i choć króla ani raz z bliska i na dłużej widzieć nie mógł, to przecież różnych się rzeczy o nim dowiedział. Dowiedział się też, że ten król zwie się August, elektor Saski, że po to on bawił stojąc obozem w Tarnowskich Górach, iż mają przyjechać tam posłowie polscy, aby go powitać i na Królestwo Polskie wprowadzić, ponieważ Polacy obrali go sobie królem, i że będzie on nazywać się w Polsce August II-gi.

W tem znowu stał się szum i huk, i przyjechali z wielkim orszakiem posłowie od Królestwa Polskiego, którzy mieli króla imieniem Rzeczypospolitej Polski przywitać. Walkowi mało oczy nie wyskoczyły do tych karoc, koni w bogatych rzędach, strojów okrutnie kosztownych, i różnych wspaniałości, ale zawsze szu-

Prawdziwie nie pożałowałbym jałmużny dla ubogich, bo miałbym z czego dawać; i nie czyniłbym nic złego, bo dbam przecież o duszne zbawienie; i roboty bym się serdecznie jął nieraz, gdy przyszlaby mi do niej ochota; ale tak codziennie słuchać czyjejs woli i chodzić wedle czyjegós kierownictwa, niby ten wół w pługu, to ja tego wytrzymać nie mogę, to głupia rzecz.

Gdyby tej mowy wysłuchał ksiądz proboszcz, byłby z pewnością powiedział, że to Pan Bóg właśnie czyni ludzi parobkami, gospodarzami, i na innych umieszcza ich stanowiskach po to, aby pełnili to, co na tych stanowiskach czynić należy, a kto tego nie czyni, ten łaski u Pana Boga nie znajdzie, choćby największe rozdawał jałmużny. Ale ksiądz proboszcz nie słyszał mowy Walka, a starsi gospodarze, którzy ją słyszeli, choć czuli, że Walek źle mówi, to przecież nie umieli mu tego ani raz wywieść słowami. Pokręcił więc tylko ten i ów głową, i bąknął, że Walek mówi nic do rzeczy; młodzi rozśmiali się nawet; chłopaki odtąd nazywali Walka królem, na kpiny; ale mimo to, wszyscy pomyśleli, że może i jest sens w Walka gadaniu; i niejeden młody parobek zaczął odtąd opuszczać się w posłuszeństwie, za przykładem mądrego Walka. Bo ze złemi słowami jest tak, jak z ziarnem, co rzucisz to ci z plonem obfitym wyrośnie. Niekarnych

chłopaków zaczynało się coraz więcej zjawiać w Tarnowskich Górach i w okolicy, — nie jeden może też za przykładem Walka o królowaniu rozmyślał, ażeby będąc królem nie słuchał niczyich rozkazów. A w tem, zaszumiało, zachuczało, i ludzie krzyknęli:

— Król jedzie!

Na ten okrzyk wszyscy rzucili się króla oglądać, a najprzód Wslek, bo ciekawy był jak mówi i co robi? Bo zdawało mu się, że jak się tego wszystkiego napatrzy i wyuczy się tego, to już sam bliższym królowania będzie. Włóczył się więc za tym królem i jego dworem wspaniałym, odpatrywał, wypytywał, i choć króla ani raz z bliska i na dłużej widzieć nie mógł, to przecież różnych się rzeczy o nim dowiedział. Dowiedział się też, że ten król zwie się August, elektor Saski, że po to on bawił stojąc obozem w Tarnowskich Górach, iż mają przyjechać tam posłowie polscy, aby go powitać i na Królestwo Polskie wprowadzić, ponieważ Polacy obrali go sobie królem, i że będzie on nazywać się w Polsce August II-gi.

W tem znowu stał się szum i huk, i przyjechali z wielkim orszakiem posłowie od królestwa Polskiego, którzy mieli króla imieniem Rzeczypospolitej Polski przywitać. Walkowi mało oczy nie wyskoczyły do tych karoc, koni w bogatych rzędach, strojów okrutnie kosztownych, i różnych wspaniałości, ale zawszeszu-

kał króla i wypytywał o niego. Aż dowiedział się, że po różnych uroczystych powitaniach, wedle królewskich poselskich obyczajów, panowie posłowie dali królowi na wybór, gdzie chce wyznanie wiary uczynić i pakta zaprzysiędź, czy w Częstochowie? czy w Piekarach? i król po namyśle wybrał Piekary.

Walek wydziwić się temu nie mógł:

— Jakto? — pytał ludzi — cóż to król ma za wyznania czynić? i co zaprzysięgać? i na co posłowie Częstochowę lub Piekary na wybór mu dają? A jeżeli królowi podoba się tę rzecz właśnie w Bytomiu uczynić? to co? przecież on król, to robi co mu się podoba. Jabym zaraz naumyślnie ani Piekar ani Częstochowy nie chciał, i kwita.

Tak się dziwił i tak pytał Walek, aż nareszcie zrozumiał wraz z innemi, że wyznanie wiary, które król miał czynić, znaczyło, iż król był luterskiej, czyli jakiejś tam religii, a teraz miał u ołtarza Matki Boskiej Piekarskiej nawrócić się na katolicką wiarę. Tyle Walek zrozumiał i to go ucieszyło, ale coby za „pakta“ miał król zaprzysięgać? tego już ani raz, ani Walek, ani nikt z jego przyjaciół domyślać się nie mógł.

Tem bardziej też kręcił się Walek, a prze-myśliwał, jak tu zrobić, żeby w Piekarskim kościele króla widzieć, i cały ów tajemniczy obrzęd, który miał się odbyć dnia 26 lipca. Ze zaś znał Walek, jako nygus chłopak, wszys-

tkie kąty wszędzie, więc też potrafił skrycie wleźć tegoż dnia do kościoła gdzie przecież wszystkim kto chciał nie wolno wejść było, boby się ludzie poduszili. Włazłszy, umieścił się Walek w jednej framudze zakrytej, koło Wielkiego Ołtarza, z kąda doskonale mógł widzieć wszystko coby działo się przed Wielkim Ołtarzem, a Walek samego wcale widzieć nie było.

Było tam bardzo wspaniałe przed Ołtarzem przyozdobienie, kobierce, kwiaty, zieleń, złocistości różne; a potem znów wspaniałe ckrućnie, aż jaśniejące od zbroi i kosztowności i barwistych szat,—schodzić się zaczęło państwo, które szerokim obozem pod bogatemi namiotami koło kościoła od paru dni spoczywało, nie mając gdzie pomieścić się inaczej. Ale Walek nic na to wszystko oczu nie miał, tylko króla wypatrywał, bo myślał sobie: „Będę ja miał wspaniałości do syta, gdy sam królem zostanę, i nie o szaty, ani o złoto mi idzie, bo to wszystko marność i tego z sobą na drugi świat nie zabiorę, tylko o to, abym czynił co mi się spodoba. Trzeba mi napatrzyć się jednak, jak król mówi, i jakie ma ruszenie, i jakie to on pakta będzie zaprząsigał, abym sam wstydu z niewiadomości nie miał, gdy królem zostanę.

Patrzył tedy na króla i słuchał Walek aż mu uszy od głowy odstawały, i widział i słyszał. Było to zaś około godziny dziewiątej

z rana, dnia 26 lipca 1697 roku. Najprzód tedy ksiądz Jerzy Kryszpin, Biskup żmudzki, piękną mową, imieniem Rzeczypospolitej Polski króla powitał uroczyście, co długo trwało. Potem król ukląkł, a tenże Biskup wyznanie wiary królowi przeczytał, co też długie było. Potem jeden kapłan wysłuchał króla katolickiej Spowiedzi, i przy Mszy Komunią świętą król przyjął, i one „pakta“ mu czytać poczęto, a król przysięgał, że to będzie czynił, a tamtego będzie się strzegł, że tego będzie pilnował, a tamtego znów ani waży się tknąć bez pozwolenia... i tak dalej, a dalej... król przysięgał, a Walek tak się tem zdumiał, że nieledwie jakby mu tuman oczy i uszy zasłonił, że już chłopak nic więcej ani widział ani słyszał, aż wszyscy wyszli i kościół osamotniał. Wtedy i Walkowi lżej się jakoś zrobiło, wylazł z kryjówki milcząc i głową tylko trzęsając; a dopiero z kościoła wyszedłszy, załamał ręce aż trzasły, i głośno krzyknął sobie:

— Niechajbym ja parobkiem żył i umarł raczej, niżbym takim królem miał być, co mu ani prawie palcem kiwnąć bez pozwolenia jego panów radnych nie wolno! A jeszcze musi na to przysięgać! E, to już sto razy lepiej parobkiem być, to przynajmniej nie przysięgam, więc choć umowy nie dotrzymam, to przecież zawsze nie taki grzech jakbym przysięgę złamał.

— A ty jaką przysięgę chcesz łamać chłopaku? — zapytał ksiądz Proboszcz, który przypadkiem widząc chłopca machającego rękami i gadającego do siebie, przystąpił do niego, sądząc, że to waryat.

— A, bo już proszę wielmożnego proboszcza, wolę królem nie być — odpowiedział Walek czapkę do nóg Księdza skłaniając.

— Wolisz królem nie być? hm... — mruknął ksiądz, i tem bardziej sądząc, że z waryatem ma do czynienia, począł wypytywać, chcąc zająć się chorym na umyśle chłopakiem. Od słowa do słowa, Walek wypowiedział wszystko, co miał od dawna na myśli i przecież dopiero ksiądz zrozumiał, że to nie waryat, tylko taki ot swawolny nicpoń, jakich dużo jest na świecie, a którzy niby nie źli ludzie, przecież dużo złego czynią przez to, że i sami obowiązku nie pilnują i drugim zły przykład dają. Wtedy rzekł ksiądz:

— Mój chłopcze kochany, nakazuję ci surowo, abyś co dzień w wieczór do mnie na krótką naukę przychodził, na której tłumać ci będę, co to jest obowiązek i po co jest obowiązek na świecie. Na dzisiaj spamiętaj sobie to jedno, że nie tylko król każdy ma obowiązki, które dobrowolnie pełni, ale nawet sam Syn Boży powiedział do Ojca swego: „Nie moja ale Twoja niechaj spełni się wola!...

Tak mówił ksiądz proboszcz; a potem za-

prowadził Walka natychmiast do jednego gospodarza w Piekarach, sam się z nim umówił i Walkowi kazał zgodzić się doń za parobka. Walek zamyślony, czynił co mu kazano, bo jakoś przed obrazem Matki Boskiej Piekarskiej w chwili, gdy król August II-gi przysięgał „pakta,” czyli królewską umowę z narodem, jak w Polsce bywało, zaczęło i Walkowi świtać w umyśle prawdziwe obowiązków pojęcie. Odtąd przy pomocy nauk księdza, pojmował obowiązki człowieka coraz lepiej, i gospodarza swego słuchał jak parobkowi przystoi; osiedział się przecież na miejscu, zaprzestał wałęsania, został prawdziwie porządnym parobkiem i z czasem z nygusa i już prawie włóczęgi, wyszedł na porządnego gospodarza, który własnym parobkom. potem tłumaczył, że każdy człowiek, król czy parobek, ma swoje obowiązki i pełnić je musi.

X.

Historya o budowaniu nowego kościoła Matki Boskiej w Piekarach.

Znalezienie wapna.

Z każdym dniem więcej serc gorzało miłością do N. M. Panny, i coraz to większe tłumy pielgrzymów przybywały do Piekar, modlić się i spowiadać, wyrzekać grzechów przeszłych i siły czerpać na przyszłe życie i na śmierć

szczęśliwą. Setki lat mijały, kościółek był stary już, i niby malał co rok, jak to się ze zgrzybiałymi starcami dzieje, gdy się chylą do ziemi. Ale z kościołem Piekarskim działo się tak dla tego, że im on był starszy, tem więcej ludu doń się cisnęło, więc się coraz trudniej było mieścić, i przed oltarz Matki Boskiej dostawać.

Było tak długo, przez całe wieki; każdy pleban wzdychał i rozmyślał, coby na to poradzić? Oczywiście rada na to była tylko taka, żeby w miejsce małego starego drewnianego kościółka, wymurować nowy, duży. Ale na murowanie kościoła potrzeba wiele pieniędzy, a żaden pleban pieniędzy nie miał; z piasku bicz trudno jest ukreścić, a cóż dopiero kościół z niczego zbudować, bo byłoby to toż samo, co z próżnego nalać. Zatem i plebani i parafianie wzdychali za nowym kościołem, ale kościoła, jak nie było, tak nie było, aż proboszczem został Ksiądz Jan Alojzy Fitzek, wyświęcony w Krakowie na kapłana (jakiś czas był w Czeladzi prebendarzem, potem plebanem małej parafii w Szlązku, a przysłówie jego było: „o hultajstwo!“), który także długo o kościele myślał i wzdychał nad niemożnością budowania; widząc nareszcie, że nic nie wymyśli i nie wywzdycha, przestał myśleć i wzdychać, a postanowił kościół murować, i basta.

Gdy Ksiądz proboszcz oznajmił parafianom

to swoje postanowienie, to oni aż zadrżeli ze strachu, czy zacny Ksiądz rozumu z pracy i rozmyślań nie stracił. Ale gdy on rzekłszy: Mam moich własnych kilkadziesiąt talarów i za te najmę robotnika pierwszego; kto z was dzieci moje, może, i co może, niechaj także daje na kościół, czy materyał, czy grosz, choćby jeden! — Natenczas parafianie pokiwali głowami...,... Każdy rozumiał, że poczciwy Ksiądz rzuca się na niepodobne przedsięwzięcie, chcąc budować duży kościół ze składek ubogiej parafii. Ale przytem tak sobie każdy pomyślał:

— Biedaczysko Proboszcz, co mu też przyszło do głowy; ja tam oczywiście natychmiast dam co będę mógł, a może i drugi kto, i trzeci da cośkolwiek, ale to wszystko razem ani na wapno nawet nie wystarczy, nie dopieroż na cegły do murowania kościoła.

Tak sobie wielu pomyślało, i wskutek takiego myślenia nazajutrz każdy posłał co mógł Księdzu Proboszczowi. Jeden kilka talarów, inny kilka fur piasku, deski, parę koni z wozem, owies, siano, Bóg wie nieco przysyłano Księdzu, a tymczasem jego postanowienie budowania kościoła rozniosło się po świecie. Nuż tedy możniejsi panowie zaczęli też dawać na kościół, niektórzy niekatolicy nawet. Jeden pan hrabia dał pozwolenie księdzu, a rozkaz swoim leśniczym, aby wszystko drzewo na budowanie kościoła brano z

jego poblizkich lasów. Więc zaraz cała służba tegoż hrabiego ofiary dawać poczęła za pana przykładem.

Bytomscy obywatele 1000 talarów ofiarowali. Gminy oświadczyły, że konie posyłać będą do zwożenia materyału, bo proboszcz udał się do innych proboszczów, oznajmiając im swe zamiary i prosząc o pomoc; więc i oni czynili co mogli i do parafian swoich przemawiali, aż z coraz dalszych stron dary nasyłać zaczęto, a proboszczowie sami po sto talarów, inni po mniej i więcej dawali. Tymczasem Ksiądz Fitzek na nową myśl wpadł: porozpisywał akcye po pięć talarów każdą i rozpuszczał je między ludzi. Kto taki papier za pięć talarów od proboszcza kupił, ten stawał się fundatorem nowego kościoła, a Ksiądz zaręczał, że procenta od tych papierów nikogo nie miną, bo je sam Pan Bóg albo na tym, albo na drugim świecie będzie wypłacał. Tedy jak się ludek do tych akcyi rzucił, to nadspodziewanie, że się aż sam Ksiądz zdziwił. A byli tacy z zamożniejszych, którzy i po sto takich akcyi kupowali, utrzymując, że proboszcz doskonale to pomyślał, bo niejednemu już przepadły pieniądze u ludzi umieszczane, ale u Pana Boga nikomu ani grosz jeden nie przepadł.

Ksiądz już się z budowniczym układał i do rządu o pozwolenie budowania się udawał gdzieniu trudności czyniono, perswadując, że,

tak wielkim kosztem nie podola, przecież po długich staraniach dano pozwolenie. Ksiądz zaś czasu nie tracąc wydał odezwę w „Tygodniku Kościelnym“ do Duchowieństwa katolickiego, oznajmiając, że kościół zamierza budować w Piekarach, na akcyach po pięć talarów każdą, fundusze zbierając, w procentach zaś będzie się na wieczne czasy odprawiać za akcyonaryuszów, czyli fundatorów wotywa co sobotę w Piekarskim kościele. Sygnęli się znów jeszcze z dalszych okolic fundatorowie, a że niesiąc Maj nadchodził, więc ksiądz Majowe nabożeństwo uroczyście odprawiając, zapowiedział na ostatniego maja założenie kamienia węgielnego pod nową budowę.

A o pozwolenie na to znowu trzeba było się oddzielnie starać. Nareszcie urząd w Bytomiu dał to pozwolenie, ale pomyliwszy się, dał je na poświęcenie kościoła nie zaś na zakładanie kamienia węgielnego, więc znowu trzeba było o właściwe pozwolenie się starać.

Każdy inny starając się o takie pozwolenie byłby dziesięć razy od ręki stracił nimby się z temi wszystkimi przeszkodami załatwił, i z tysiącem innych, które zadługo byłoby wszystkie tu wymieniać. Ale ksiądz proboszcz powiedział sobie, iż kto rękę do pługa przyłoży, ten się oglądać więcej nie powinien za siebie, i nie oglądał się już na nic proboszcz ten wytrwały, tylko dalej dzieło swoje prowadził, aż nareszcie najawszy robotnika kazał

na wapno doły kopać, a wapna już sporo w ofierze zwożono, choć daleko było do tego aby miało go być dosyć. Uderzają tedy robotnicy w ziemię rydlami, aż po małej chwili, ledwo ziemię wzruszono, pokazał się ogromny dół z wapnem, a było ich i więcej. Stał się krzyk — i wielkie zdziwienie. A wapno to leżało tam już od dwustu lat najmniej, odkąd Ojcowie Jezuiti kazali je zachować, gdy im od dawnych robót pozostało. Dużo ludzie o tem mówili, i zdarzenie to z wapnem, wielkiej dodało otuchy do budowania. Byli i tacy, którzy mówili, że Pan Bóg widząc jak wszyscy składkę na kościół dają, przyłożył się też do skłaki, dając owe wapno, którego było niemało.

Założenie węgielnego kamienia.

Dnia ostatniego Maja, z wielką uroczystością, młodzieńcy pięknie postrojeni w świątecznych szatach i parny w wieńcach, wszystko jako drużbowie, przynieśli kamień węgielny do starego kościoła. A i kamień cały też był owity wieńcami. Wydobyto go z tak zwanej Grzeźotkowej skały, cciosano pięknie w kwadrat, a w środku miał spore wydrążenie. W to wydrążenie włożono różne opisy, jako też kilka sztuk pieniędzy, które w owym czasie w obiegu były na Szlaku; a wszystko to włożono tam na pamiątkę.

W wigilią Nawiedzenia Matki Bcskiej przyjechał z sąsiedztwa ksiądz Szafranek, przy-

wiół dwa nowe rydle, i obaj z księdzem Fitzkiem poczęli własnymi rękami kopać fundamenta na nowy kościół. Nazajutrz w sam dzień Nawiedzenia dopiero to była wielka uroczystość, gdy ksiądz Gaerth, radca szkolny, poświęcił kamień węgielny, i gdy go w fundamenta, przez proboszczów kopać zaczęto, włożono. Odtąd też fundamenta robotnicy kopać zaczęli, i kopali na 22 stóp głęboko, dopóki na stały grunt nie natrafili. Co tam materyału, sążni kamienia i wapna spotrzebowano na te fundamenta, to i wypowiedzieć trudno. Działo się to pod dozorem p. Feixa Jejtnera gdy pan Juliusz Rapacki był budowniczym. Budowa więc tego kościoła rozpoczęła się r. 1842. Śnieg i mróz dopiero przerwały murywanie. Przez zimę tylko materyały zwożono, co wszystko prawie ludzie ofiarowali, przytem składki i podarki szły ciągle, a ksiądz proboszcz zabiegał, zbierał, starał się o więcej, i robotnika pilnował, a przecież po dawnemu i w duchownem staraniu około parafii całej nic a nic się nie opuszczał; tedy niech sobie u dzie wyobrażą, ile się ten proboszcz napracował i jak był z niego gorliwy robotnik w winnicy Pańskiej.

Ale był też i jeden pan dyrektor, dobry księdza proboszcza przyjaciel, jakich każdemu uczciwemu życzyć należy, i on to proboszczowi pomagał, dzień w dzień przy budowie stojąc, a pilnując by z Bogiem wszystko szło.

U niego tylko proboszcz z braćmi swymi, innymi księżmi, gościne przystojną znajdowali, budując się wzajem statecznem rozmowami, radząc nad dalszą kościoła budową i nad dobrem duchowem robotnika i parafijan. A taka miłość święta i zacna wiązała spolem tych przyjaciół tak się naradzających, że ja za wzór potomności można było zalecić, bo nie ma na ziemi nic rozkoszniejszego nad święte przyjaźni uzucie.

Tenże to przyjaciel i pomocnik księdza proboszcza i dom swój nowy podarował na chwałę Bożą, a był zamiar aby w nim zakonnie umieścić, lecz potem gdy się czasy zmieniły i nie udało się tego zamiaru doprowadzić do skutku, tedy dom ów za półszоста tysiąca sprzedano, a pieniądze te użyto na kościół. I znów dawali i ten i ów i pan Edler i Rheinhaben i Miketta i Karol Piekoszowski i nawet jeden starozakonny, Metzner z nazwiska, posyłał swoje konie do wożenia, i Barbara Mikowa, i br. Hugo Donersmark i różne gminy pomagały wciąż i nie tylko Piekary, ale Rozbark, Chorzów, Dąb, Michałkowice, Łągiwniki, Dąbrówka, Szywold Trynek, Wojtowawieś, Szobieszowice, a i pan Markewka i jego matka, i siostra Józefa. Jedna też uboga kobieta 10 talarów przyniosła, ofiarując je jako pierwszy jej dwóch synów zarobek. Ci byli jedni z pierwszych, ale ile ludzi następnie coraz więcej ofiar czyniło, te-

go pióro nie potrafi wypisać, ani nazwisk ich wyliczyć, ani nawet i ludzka pamięć spa-
miętać. lecz Bóg ich wszystkich co do jednego
tych, którzy na dom Boży ofiarowali, wypis-
sał i wyliczył, i spa-
miał!...

*O przypadkach bez nieszczęścia i o figlach wśród
mularzy.*

Z wiosną, zbiegli się ze wszystkich stron
mularze Niemcy i Polacy i inni robotnicy i
i dalej robotą murowania kościoła prowadzo-
no. Ale najprzód było nabożeństwo, po któ-
rem każdy robotnik, cieśla, mularz, czy inny
który tylko miał się kościoła tknąć, musiał
słowo swoje na to dać, że nie będzie ani kłać
ani tytoniu palić, ani wódki pić, a to po to
aby było błogosławieństwem na tej robocie; ja-
koż i być; gdyż chociaż się nie obeszło bez
przypadków, to obeszło się bez nieszczęścia.
A było to tak :

1. Pierwszy przypadek stał się, gdy funda-
menta wykopano pod starą zakrystyą, gdzie
też zaraz nową mieli murować, a w tem na-
deszła niedziela i na prymicye jednego ka-
plana, ludu się dużo zgromadziło, więc na
tę niedzielę nakryto szczelnie deskami owe
fundamenta i konfesyonał postawiono, który
zawsze i w zakrystyi stawał. W niedzielę, gdy
kapłan słuchał spowiedzi, tedy póki po je-
dnemu ludzie przystępowali, wszystko dobrze
było, ale gdy się tłumniej zacisnęli na raz

deski się załamały i wszyscy i wszystko i ksiądz z konfesyonałem wpadli do dołu. A jednakże jak wpadli tak i wyszli wszyscy zaraz szczęśliwie, tylko jedną kobietą troszeczkę przygniotło, ale i ta wkrótce jak ryba chodziła. Więc choć wypadek był, to się bez nieszczęścia obeszło.

2. Drugi wypadek był z Joanną Wróblową, która dziewczyną wówczas będąc, mularzom wapno podawała i źle stąpiwszy z trzeciego rusztowania spadła, a nic jej się nie stało prócz lekkiego nogi skaleczenia.

3. Trzeci wypadek był, gdy mularze stojąc na dachu starego kościołka, takowy dach pod sobą załamali gdyż był spruchniały i spadli, ale żaden ani nawet małej ranki nie odniósł.

4. Czwarty wypadek był, gdy dziesięcioletnia dziewczynka, córka Ogermana, idąc śpiewać na chór, po drabinie, spadła z wysokości i nieprzytomną została, ale dla tego w parę dni zdrową była jak ryba.

5. Piąty wypadek był, gdy syn organisty, idąc przez rusztowania rano dzwonić na pacierze, spadł z wysokości i leżał na dole, aż rozmyśliwszy się, wstał, i poszedł napowrót ostróżnej, aby dzwonić, i dzwonił, bo go ani palec nie zabolął z przypadku tego, a potem do żołnierki jeszcze poszedł i zdrów był.

6. Szósty wypadek był z końmi, które pan Leopold Markewka podarował na zwoża-

nie materiałów, spadły te konie wraz z wozem dnia jednego w dół, na 14 stóp głęboko i tylko dyszel się złamał, a koniom nic a nic, tylko drżenie miały chwilowo z przestrchu.

Tyle tylko i takich było wypadków przy całym budowaniu, a to dla tego, że z Bogiem robotę zaczęto i co sobota na tą intencję odprawiło się nabożeństwo, na którym wszelki robotnik musiał być.

Wszystko szło z wielkim porządkiem przy robocie, bo tego ksiądz proboszcz z przyjacielem swym pilnowali. Więc mieli robotnicy piękny niby biwak czyli szałas na górze tuż wystawiony, w nim był stół, i spanie tam mieli i jedzenie, a to wszystko działo się na głos dzwonu jakby w klasztorze jakim, pięknie i przystojnie, i jedzenie i odpoczynek, i spanie; a proboszcz chodził wśród robotników i z ambony też, i wraz z przyjacielem swym, wciąż rozmową ludzi budował, i naukami ku dobremu zachęcał.

A jednakże mimo tych wszystkich starań, przecież zaczęły się między robotnikami wykazywać figle. Bo była księga, w którą każdy najmniejszy wydatek się wpisywało, tedy patrzy ksiądz proboszcz ze swym przyjacielem do tej księgi, a tam mularze duży wydatek na nici wpisali, a potem jeszcze większy i jeszcze większy. Więc zdumiewał się proboszcz po co mularzom tak dużo nici potrzeba kiedy niemi nie murują, aż gdy zaczęto się nad

tem zastanawiać, wydało się, że niemi przeważano gorzałkę i kupowano ją i pijano a niemi przeważano, aby w księdze tylko nici były zapisane, gdy się ta historyjka rozgłosiła, stał się wstyd mularzom, więc przestali niby gorzałkę pić, i już nici nie zapisywali do księgi, ale ksiądz i tak coś miarkował.

Aż dopatrzył, że znów strasznie wiele soli w księdze było zapisano i znowu pokazało się, że gorzałkę solą ochrzczono aby ją w tajemnicy kupować.

Tu już zasmucił się ksiądz proboszcz tą ludzką przewrotnością i wezwał do rady księdza Stefana. Naradziwszy się obaj, nakreślili ustawę przeciw pijaństwu, i zebrali się gromić je z ambony, a do towarzystwa wstrzeźliwości zachęcać. Zaczęli proboszczowie tę walkę ze złym nałogiem w sam dzień Matki Boskiej i tak im się powiodło szczęśliwie, że zaraz tego dnia po kazaniach kilkaset osób do towarzystwa wstrzeźliwości się zapisało. I tak szło dalej, proboszcz nasz pracował, bracia kapłani mu pomagali i przecież powoli i w okolicy lepiej z tem się dziać zaczęło, i i u nas podobne figle ustawiały.

Poświęcenie nowego kościoła, aby się w nim nabożeństwo mogło odprawiać.

Tak pracowało się nad budową domu Bożego, od pierwszego wiosennego ciepła, aż do

mrozów, a potem robotą odpoczywała pod śniegiem i szronem, i znowu szła dalej na wiosnę, aż się mury wysoko podniosły, a był to już rok 1846 i każdy się cieszył kto go dożył, i budowlę piękną i wspaniałą oglądał, z ubogiego grosza, naprawdę jakoby z użebnanego, przez księdza Fitzka, powstała. I mała wieża stała już, ta, która się sygnaturką zowie, i umieszczono na niej dzwonek ten sam, który ze starej wieży drewnianego kościołka od wieków ludzi zwoływał na nabożeństwo. Kotlarze też już o swojej pracy myśleli, bo ksiądz Fitzek ciągle starał się ograsz, a mówił, że chłopci mają suopkami lub gontami domy kryte, a panowie cynkiem, dachówką, lub inaczej, więc dom Boży powinien być kryty miedzią. Ale tymczasem jeszcze nietylko dachu, ale nawet ani sklepienia nie było, a stary kościół stał wciąż w środku kościoła nowego, ale i ten stary miał już dach taki potrzaskany i popsuty, że gdy burza nadeszła, to się deszcz strumieniem lał do kościoła. Zimą trzeba było ciągle śnieg z tego dachu zmiatać, aby nie tajał, a zakrystyą to się w różne miejsca w starym kościele przenosiło tymczasowo, wedle tego, jak roboty wymagały miejsca, a przecież w nabożeństwie żaden się uszczerbek nie stawał i żadnej opieszałości w zaspokojeniu duchowych potrzeb nie doznali parafianie, bo taki to był pracowity i zabiegły nasz ksiądz proboszcz. Aż nareszcie

przyszło na to, że sklepienie nowego kościoła zasklepiwszy, należało stary rozebrać. Tedy w uroczystość św. Bartłomieja, kiedy zawsze tłumy ludu się tu gromadzą, odprawiono się tu ostatnie w starym kościółku nabożeństwo, jakoby na podziękowanie Bogu. Ksiądz Sztabik proboszcz Michałkowski miał kazanie i od tego dnia zaczęto stary kościół rozbierać i wnosić, a na Matki Boskiej Narodzenie poświęcony został nowy kościół. Ołtarzyk był bardzo skromny, a jeszcze drzwi, ani okien nie było. W wigilię przybyło dużo duchowieństwa i Nieszpory odprawiły się w kaplicy Panny Maryi, bo to miejsce, które przedtem zwało się „Bramą zmarłych“ przerobiono na kaplicę P. Maryi. Zamiast chóru, panny na rusztowaniu litanję na głosy śpiewały. Antyfonę, Sanctisima, i Maria Stella, a przed kaplą, tłumy ludu w modlitwie pogrążone korzyły się, patrząc na Oblicze Matki Boskiej Piekarskiej.

Nazajutrz, ledwo się rozwidniało, znów lud wielkimi tłumami kaplicę i wewnątrz i zewnętrznie nowego kościoła otoczył; Msze św. odprawiały się jedna po drugiej w kaplicy bo dużo zjechało duchowieństwa z blizka i z daleka, i panów też bez liku, a wszyscy ludzie razem młocią Boską ożywieni i pałający. Natenczas z polecenia księdza Biskupa dopełnił poświęcenia ksiądz kanonik Gaerth z katedry Wrocławskiej przystany, a ksiądz

przyjaciel serdeczny. Asystowali: ksiądz Ulych z Opoła i ksiądz Sauer z Wrocławia. Ks. Preushof z Głogówka miał niemieckie kazanie, a ksiądz Presfreund miał polskie. Podczas nabożeństwa siedział sobie nasz ksiądz proboszcz Fitzek u stóp ołtarza dziwnie jakoś w myślach zatopiony, aż zapytany od swego kapelana, którego to bardzo niepokoiło, o czemby tak myślał? odpowiedział:

— Albo ja sam wiem, nie pytaj mnie mój synu, nie wiem jakie mię uczucia opanowały i powtarzały we mnie: „Wielbij duszo moja Pana!”

Po nabożeństwie powiedzieli księża, aby po południu przyszły dzieci na to miejsce, które się teraz Rajskim placem nazywa, aby otrzymały obrazki na pamiątkę poświęcenia kościoła. Jakoż koło godziny trzeciej gdy przyszły dzieci, które były poświęceniu obecne, z Piekar i okolicy, wtedy ukazało się kilku księży wysoko na mularskim rusztowaniu i wyniosłszy jeden i drugi i trzeci wielki kożsypali dziatwie zwolna, z góry, na swoją i na ich wielką uciechę różne rzeczy: obrazki pamiątkowe, pierniki, cukierki i jabłuszka. Ten który tę historję z pamięci i z ludzkich opowiadań spisał, był także wtedy i z innemi dziećmi na Rajskim placu, i obrazki i pierniki chwycił, a co tam było wrzawy i uciechy, to nie łatwo byłoby opisać.

O wykończeniu kościoła i o tem co ksiądz kanonik królowi pruskiemu opowiedział, i jak organy same grały.

Zaczęto wtedy wykończać kościół najprzód sklepienie, potem malarz je malował, a stycerze ołtarz rzeźbili.

W tym czasie nadjechał Fryderyk Wilhelm IV-ty król pruski, który zwiedzając kraj, o Piekary też zawadził. Zdziwił się król bardzo, gdy usłyszał, że kościół tylko z ofiar poczciwych ludzi się buduje; stał tam stół po prawej stronie ołtarza, na nim leżała księga fundacyjna, stał kałamarz i pióro, tedy zaraz wziął król to pióro i podpisał się też w tej księdze jako fundator.

Ksiądz kanonik Heide z Raciborza witając króla przemową, wyrażając w niej radość z królewskiego przybycia do Świątyni z jałmużny wystawionej, z której już wiele dobrego wyszło, bo i wojna przeciw pijaństwu.

Król na to uprzejmie w kilku słowach odpowiedział. Potem jeszcze rozmawiając w kościele, opowiadał ksiądz kanonik królowi, jak przed wiekami tu na temże samem miejscu w starym drewnianym kościółku, przed obrazem Matki Boskiej Piekarskiej, oddawał cześć Bogu, wielki król Polski, Jan III. Sobieski, gdy na pomoc szedł austriackiemu cesarzowi trapiionemu przez Turka; tutaj u stóp ołtarza Matki Boskiej czerpał Jan Sobieski siłę na.

pogromienie Turka, na ocalenie chrześcijaństwa i austriackiego cesarstwa. Wiedeń i świat cały świadkiem był tego co polskie wojsko i Jan Sobieski dokonali wtedy, i jaką się chwałą okryli.

Potem też i o drugim królu polskim Augustie II-gim opowiadał ksiądz kanonik, iż ten król August, tutaj wyznanie wiary katolickiej uczynił przed obrazem Matki Boskiej w Piekarach.

Następnie król Fryderyk wyszedł z kościoła, a spojrzawszy na wieże, pytał księdza Fitzka czy obie równe być mają? i jak wysokie będą? Ksiądz Fitzek odpowiedział, że mają być wysokie na dwieście stóp, aby ucziły Matkę Boską wysokością swoją, i że będą równe. I na tem się w ów czas rozmowa skończyła. Ale późniejszym czasem, gdy dalej budowano wieże, a zwierzchność z urzędu chciała coś w budowie odmieniać, to ksiądz Fitzek udał się z prośbą do samego króla Fryderyka, wtedy król Fryderyk uważnie księdza Fitzka wysłuchał i powiedział, żeby szedł i budował tak, jak jemu się podoba. Od tej pory już żadnych przeszkód nie miał ksiądz Fitzek z urzędu. Pracował tedy co siły starczyło, tak, że mu aż ustawała siła niekiedy i z łóżka wstać nie mógł, a przecież i tak z łóżka jeszcze pilnował, a rozkazy dawał i nauki, i zachęcał robotnika do uczciwości. A zawsze bywała zgryzota, jak to na świecie,

że tylko usilną, cierpliwością, można dojść ładu z ludźmi. Robili stolarze, kowale, ślusarze, robił też mistrz Haas z Baberowa, który organy budował i miał dwóch pomocników, jeden zwał się Dyrschleg, a drugiego lepiej nie wymieniać nazwiska, gdyż brzydko się sprawiał w skrytości, tak, że gdy zle sprawki jego wyszły na wierzch, jako oliwa na wierzch wody wychodzi, to się aż do więzienia dostał ów niepoń. Organy z innym pomocnikiem dokończono; kilka tysięcy kosztowały one, ale i tak niezadługo grały same; i do dziś dnia chociaż organistę mają tęgiego, przecież często grają same; a to dla tego że im wilgoć szkodzi, zaraz pęcznieje wszystko w nich na wilgoć, i uchodzi dech, i ztąd jest to granie. I tak to już z niemi będzie, dopóki z gruntu przerobione nie zostaną, choć zresztą są piękne.

Nad ołtarzem pracował Jezuita ksiądz Knapieński, pięknie snycerską robotą, dniem i nocą go ozdabiając, z jednym tylko stolarzem, do pomocy, aż zrobili i ustawili.

Małe ołtarze zaś, konfesyonały, ławki, drzwi i okna robił stolarz Gruszką.

Ambonę przywieziono kędyś od Mikołowa gotową, tylko ją, wmurcwano na miejsce i dopiero potem malarz pomalował. Przedstawiła ona łódź Piotra świętego, a towarzysze jego Jakób i Jan wyciągają sieć ze złotemi rybami, a dwaj aniołowie złotemi wiosłami nagajniają im te ryby. Wszystko zaś to przedsta-

wia ową chwilę wiadomą, kiedy to św. Piotr łowił napróżno ryby długo, aż gdy mu Zbawiciel jeszcze raz sieć kazał zapuścić, wtedy dopiero nieledwie rwać się zaczęła od wielkiej ryb obfitości. A potem Zbawiciel powiedział: „Piotrze, odtąd ludzi łović będziesz.“

Malowany był kościół przez bardzo sławnego malarza, który z austryjackiej stolicy czyli z Wiednia przyjechał i sam wszystko wymalował, tylko jednego do starcia farb potrzebując pomocnika, a później odjechawszy, jeszcze obrazy przysyłał.

Kamień marmurowy na posadzkę sprowadzony był z Polski, z Krzeszowic z pod Krakowa, a na miejscu tu go obrabiał jeden mistrz, którego nazwiska też nie wypada wypisać, bo źle się sprawiał, pijąc zbyt wiele gorącego trunku. tak aż go towarzysz musiał w pracy zastąpić. Ten towarzysz zwał się Kuczara i pilnie pracę swoją prowadził. Kamienie te były najprzód tarte jeden o drugi a wodą lane, potem zaś na czysto je tarto a potem woskowano.

Dużo rąk przytem pracowało, nim się kościół wyłożyło tymi marmurami, aż nareszcie wszystko było gotowe i te cztery kaplice które są po rogach kościoła, a w których na Boże Ciało odprawia się nabożeństwo.

Jak Najprzewielebniejszy Pasterz przybył poświęcać kościół już ukończony, i jak Górnoszlązacy tego Ojca swojego przyjmowali, a on jak te dzieci swoje błogosławił.

Gdy ksiądz Fitzek ujrzał pracę swoją, kościół, prawie już gotowym, choć w drobniejszych szczegółach niewykończonym jeszcze, tedy udał się do Najprzewielebniejszego Pasterza, Ks. Kardynała Melchijora, prosząc go aby na dzień 22. sierpnia przybył do Piekar kościół ukończony poświęcić. Potem przyjaciół swoich współpracowników, też ksiądz proboszcz sprosił, a potem z ambony ludowi to zapowiedział. Rozeszła się zatem wesółą nowina po świecie i okolicy i mnóstwo ludu na oznaczony dzień sprowadziła.

Zaraz z południa zaczęli się zjeżdżać do Świętochłowic i schodzić: księża, państwo różne z naszym Proboszczem, ukochanym od wszystkich na czele; także Towarzystwo strzeleckie Bytomskie i Towarzystwo Górników w ubiorze swoim, na powitanie Ojca duchownego, który Górny Szlązk odwiedzić przybywał.

Jak skoro tylko wysiadł z wagonu ów gość pożądaný, zaraz przywitał go serdecznie ksiądz proboszcz Fitzek, a potem pan radca witał go piękną mową. A gość podziękowawszy, tak mówił ze szczerego serca:

— Cieszę się, iżem przybył do was, kochani, wierni Górno-Szlązacy, a dziękuję serdecz-

nie za tę uciechę moją. Czcigodnemu temu oto Proboszczowi z Piekar, który mi ją sprawił, ten Pasterz, o swoje owieczki wielce dbały.

Potem wsiadł Biskup do czekającego nań powozu pana hrabiego Hugona Henkla i jechał, za nim jechało wszystko Duchowieństwo i wszystko państwo długim powozów szeregiem, a naokoło powozu Biskupa jechali na koniach rączych, pięknie przystrojeni jako družbowie, nasi gospodarze. Trzy bramy wystawione były na przyjęcie naszego Biskupa; pierwsza była tutaj gdzie ta droga ku Kocim Górkom prowadzi, gdy się idzie od Szarleja na lewo; tam był krzyż na tem miejscu wystawiony drewniany, a teraz jest kamienny. Druga brama tryumfalna wystawiona była naprzeciw domu dawniej kupca Oswalda. Trzecia brama była tuż przed kościołem. Tedy wysiadłszy, a wszedłszy do kościoła, gdy w biskupich szatach ukazał się Pasterz nasz przed ołtarzem, to lud i duchowieństwo pogarnęło się do niego prawdziwie jak dzieci do ojca, bo ojcowskie uczucie z ócz mu patrzyło, a gorące słowo z serca do serc szło. A wiedzieć trzeba, że nie umiał Biskup nasz po polsku, tak jak i niejeden chociaż dobry katolik tutaj na Szląsku, mówił tylko po niemiecku, ale wyraźnie mówił, a z serca, i jeden słuchający drugiemu zaraz jedno słowo wytłómaczył, a drugiego i sam się domyślił, i ztąd stało się, że kto

nawet po niemiecku nie umiał, to przecież Biskupa naszego zrozumiał, bo tak już Pan Bóg dał i Matka Boska Piekarska, i tak z tem jest gdy z serca do serca się przemawia. Więc mniej więcej tak mówił Biskup:

— „O, dziatki moje! Jeżeli kiedy, to właśnie w tej uroczystej chwili pragnąłbym dar języków posiadać, którego Duch Święty Apostołom udzielił, pragnąłbym go posiadać, i palec u ręki chętnie dałbym sobie uciąć, abym choć kilka słów mógł do was po polsku przemówić. Ale choć cudu takiego doznać nie jestem godzien, to przecież czasy cudów nie minęły: wszyscy widzimy cud inry, jaki podołało się Panu Bogu nam ukazać: oto cud wiary i miłości zbudował wspaniałą świątynię z jałmużny przez ręce księdza Fitzka uzbieranej. Ufajcie w cuda wiary i miłości, dziatki moje: Ku utwierdzeniu zaś waszemu w wierze i miłości, ja który tu poświęcać ten kościół przybywam, będę po poświęceniu Sakrament Bierzmowania udzielał. Będę go udzielał codziennie przez czas mego tutaj pobytu, aby wam przystępować łatwiej było. Przychodźcież do mnie, a przystępujcie do Sakramentu tego z miłością i zgodą w sercu, a teraz weźcie błogosławieństwo moje: W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.“

Potem zaprowadzono Biskupa naszego z procesją na farę i tam dzwoniono i śpiewano, aż nico nadeszła. Nazajutrz, gdy tylko nad-

szedł dzień ten pożądany, już naokoło kościoła były wielkie tłumy ludu, ale kościół chociaż pięknie przybrany, był zamknięty, tylko na chórach pełno było ludzi, a do samego kościoła nie wpuszczano. W kościele były dwa chodniki na krzyż z popiołu usute, a na tym znaku krzyża, Biskup pisał postorałem, potem na filarach nacierał olejem świętym. Przy ołtarzu stał stół na nim pełno złotego naczynia, potrzebnego do poświęcenia; ołtarz był odkryty, w nim miejsce puste, zestawione na kamień z relikwiami, które tam ma być, a kamień ten leżał z daleka i ogień na nim palono wielki, a potem poświęciwszy go, włożono we właściwe miejsce; sam Biskup najprzód wapna wziął i tam go замуrował, a potem zaintonował i wszystko Duchowieństwo zaśpiewało, a było więcej niż sto księży. Gdy to było ukończone, rozpoczął Biskup, siedząc na tronie dlań przeznaczonym, nabożeństwo, sam w swojej osobie przedstawiając Chrystusa i mówił nie „Pan z wami“ lecz „Pokój wam.“ Potem zaraz drzwi dla ludu otworzone zostały i Nabożeństwo się Wielkie rozpoczęło. Biskupowi duchowieństwo asystowało, i księża kanonicy: Gaerth, Herbez, i Sauer z Wrocławia, i honorowi: ksiądz Fitzek i Heide z Raciborza. Przed nabożeństwem miał po niemiecku kazanie ksiądz kanonik Sauer, ksiądz Sztabik zaś z Michałkowic miał kazanie po polsku. Ten to sam mówca ostatnie miał ka-

zanie w starym kościele, i pierwsze w nowym. Podczas nabożeństwa śpiewano na głosy po łacinie, po polsku i po niemiecku, i na organach grano. Śpiewali chłopcy, dziewczęta i dwaj młodzi księża, a wszyscy znający się na muzyce podziwiali, jak takich pięknych śpiewów mogła się wyuczyć wieczorami w szkole młodzież wiejska, ciężko przez dzień pracująca.

Gdy się to wszystko skończyło, niezמרđowany Biskup jeszcze bierzmować zaczął, aż go uproszono aby przestał, i : horągwiami, z procesją na farę go zaprowadzono, gdzie następnie wszystko Duchowieństwo razem obiadowało, które się do Pasterza swego zbiegło.

Potem Nieszpory znów na głosy pięknie śpiewano i znów na farę Biskupa odprowadzono. Wieczorem zaś my wszyscy, którzyśmy śpiewali zgromadziliśmy się, i śpiewaliśmy naszemu Biskupowi pieśni na ten cel ułożone, w polskim języku, w ten sposób :

Witaj Pasterzu!

Witaj Pasterzu drogi kochany,
Tutaj od Boga do nas przysłany,
Witaj Pasterzu dobry i miły,
W nasze ubogie strony przybyły,

Cóż ci za to dać zdołamy,
Kiedy nic nie posiadamy.
Przyjm pokornie to śpiewanie,
Daj Pasterskie przeżegnanie.

Gdyśmy ten śpiew pięknie prześpiewali, tedy ujrzelśmy Biskupa naszego, który wyszedł do nas, każdego pytał o imię jego, pobłogosławił nas i każdemu obrazek dał, i talara. Tegoż wieczora było na placu imię naszego Biskupa ślicznie z lamp błyszczących wystawione i oświetlone. Wieczór był pogodny i ludu mnóstwo na plac wyległo, co wszystko się naszemu Biskupowi bardzo podobało, że tak się zakończył dzień pierwszy jego wśród nas pobytu.

*Następnie dnie pobytu ks. Biskupa w Piekarach
i odjazd jego.*

Przez sześć dni następnych książę Biskup codzień bierzmował. Ludzie zbiegali się gromadami z okolic i dalszych stron, z kąd tylko nadążyć mogli, jeżeli nie pieszą pielgrzymką, to wozem albo koleją żelazną. Przez cały tydzień tłumy ludu niezliczone zalegały w Piekarach wszystkie domy, place, i okolicę bliższą. Pasterze, kapłani, przyprowadzali do Biskupa parafian swoich, całemi parafiami nieledwie. Tak i ksiądz Śafranek z sąsiedztwa zaraz drugiego dnia pod wieczór przyprowadził swoich parafian, a ku uczczeniu ks. Biskupa wszyscy byli ze świecami w rękach. Ale snadź ich wprzód sztucznie wyuczył różnych obrotów mądrych i zgrabnych, w ten sposób, jak to żołnierzy uczą obrotów wo-

jennych, bo przyprowadziwszy ich na ten płac gdzie stoi posąg N. P. Maryi, przeróżne dziwy wyrabiał z niemi, a wszystko na komendę, zgrabnie, niby dowódzca z żołnierzami na parady, — tylko że tutaj dowódcą był Proboszcz, — ten kto na to patrzył był Biskup.

Więc najprzód wyciągnęli w szereg jak do bitwy, a potem Różaniec się z nich ułożył, a Imię następnie Księcia Biskupa, a potem różne inne rzeczy tworzyły się z tego, gdy Książę Biskup przechodził, a ludzie w tę i w ową stronę, ustawiali się coraz to inaczej. Wszystko to odbywało się przy śpiewaniu. Śpiewano więc „Pod Twoją obronę“ i inne pieśni.

Inej znów nocy, Książę Biskup, gdy mnóstwo ludu śpiewa, a śpiewa w kościele i koło kościoła, wstał, otworzył okno, popatrzył na mnóstwo owo pobożne, i rozczuliło się serce Biskupie okrutnie, więc zeszedł sobie po cichu, poszedł też do kościoła, a nie mogąc daleko zejść przez tłumy, ukląkł kędyś w kącie i modlił się rzewnie, płacząc, a prosząc Boga o dobro tego ludu... — w tem ktoś poznał Biskupa! Dopiero to było radości i płaczu — lud się cisnął do Ojca swego, a garnał i klękał, a on błogosławił i z radosnego rozczulenia też płakał, i znowu błogosławił na wszystkie strony i słuchał śpiewania, mówiąc że tego śpiewania nocnego w Piekarach nigdy nie zapomni. Aż nareszcie Duchowieństwo

znalazło Ojca wśród ludu, i odprowadziło na spoczynek, boć on cały dzień nabożeństwem i bierzmowaniem się trudził. A nazajutrz rano przyszło znów witać go to śpiewanie, które polubił, choć słów samych nie rozumiał, bo wszystkie były polskie, ale zaraz musieli mu Duchowni każdą pieśń wytłómaczyć, i już drugi raz każdą poznał. Tak działo się przez dni sześć, a przez te dni blisko 14,000 ludu Sakrament Bierzmowania przyjął.

Raz też słuchając śpiewania, otoczony ludem w odpoczynku po nabożeństwie, powiedział Biskup, że radby widział też ten polski kraj, tę ziemię, z której Kościół święty miał zawsze i ma tyle sług wiernych... i poszli wszyscy, Biskup, Duchowieństwo i lud, przechadzką zwolna ku Polsce, boć wiadomo, że granica jest u nas tuż blisko. Idą, idą, rozmawiając, aż doszli do granicy i przeszli ją, i stanęli stopami na polskiej ziemi. Nantenczas stanąwszy Biskup, tak jakby przed krzyżem lub przed świętym obrazem wyrzekł:

— „O Matko Świętych, polska kraino,“ oto stoję nareszcie na ziemi twej, która tyle świętych ludzi wszelkich stanów zrodziła, jak się to w innej żadnej nie zdarzało ziemi. — Któż policzy ile to synów i córek tej ziemi, opuściło dobrowolnie ziemskie bogactwa, dla dziedzictwa niebieskiego? Któż policzy synów tej ziemi, którzy tyle krwi za wiarę świętą przelali? O ziemio polska, świadczą o tobie

liczne cuda, świadczy o tobie opieka Bogarodzący. Tej, która twoją została Królową...

I znowu błogosławił Biskup lud klękający przed nim, gdy powracał z tej przechadzki nad granicą.

Tak prędko schodziły chwile gościny, aż nadszedł dzień 29-ty sierpnia. Odprawił wówczas Biskup ostatnią tutaj Mszę św., a ksiądz Sztabik przemówił z kazalnicy, dziękując w końcu Bogu za łaski Jego w tych czasach nam udzielone, i Biskupowi za szczerą pracę jego, i prosił jeszcze raz o pasterskie błogosławieństwo dla wszystkich zgromadzonych i dla ich domów i pokrewnych. — Lud rzucił się do stóp Biskupa łkając i płacząc głośno.

Błogosławił więc Biskup raz ostatni i wyszedł z kościoła we łzach cały, mówiąc:

— Oto przeżyłem w Piekarach ośm dni szczęśliwych, których nie zapomnę nigdy.

I odprowadziliśmy Biskupa tak, jakśmy go przyprowadzili wprzód, gospodarze na koniach koło powozu, i Duchowieństwo i państwo, i wszyscy, co go z płaczem żegnali gdy do kolei wsiadał i płakał biskup i płakał lud. A wiedziały dusze pobożne czego płakały, bo niejeden nie ujrzał go już więcej, gdyż 20-go stycznia roku 1853 dostojny ten i niedżałowany nasz Arcy-Pasterz, poszedł na spoczynek wieczny do Boga.

Zakończenie budowy kościoła.

Tak nareszcie dokonał nasz Proboszcz kochany upragnionego celu swojego, o którym w dzień

i w nocy śnił i myślał: „wybudowania kościoła N. Maryi, Matce Boskiej w Piekarach.“ Ze zaś i konsekracyi doczekał, to już za tę łaskę codziennie Bogu dziękował, gdyż niemoc z utrudzenia ogarniała go częstokroć tak wielka w czasie budowania, iż sądził, że jej nie doczeka.

Ukochany nasz Proboszcz czuł się mocno strudzonym, gdyż oprócz wszystkich zgryzot i kłopotów innych, jeszcze zdarzało się, że gdy brakło pieniędzy na budowę, to Proboszcz sam chodził i jeździł w dalsze strony, za jałmużną, choćby po parę groszy na kościół swój zbierając. Za to po poświęceniu czuł się bardzo szczęśliwym, i już tylko o tem myślał, dzieło swoje ulubione coraz piękniej czem mógł przyozdabiać, w miarę jak ofiarę na to dawali poczciwi ludzie. Więc dał potem żelazne kraty z frontu kościoła, zaś obok murów kraty drzewiane dookoła. Na filarach stanęły piękne posągi czyli figury Apostołów.

Chodnik wygodny został zrobiony na około kościoła dla procesyi. Tam gdzie dawniej był ogród, a potem cmentarz, urządzono tak zwany Rajski plac, który służy i do prozamiętywania męki Chrystusowej. Wchodzi się doń przez bramy śliczne żelazne, które podarowane były i długo zostały stać pod przecho-dem, gdzie się do wody, św. Ignacemu poświęconej, idzie, zanim Proboszcz zdołał tak je w tem miejscu ustawić jak pragnął, gdzie jest droga Krzyżowa i Stacye. Tu jest także wystawiony misyjny Krzyż

na pamiątkę, że się ztąd Misye zaczynały i rozchodziły w różne strony. Pod krzyżem stała ambona, gdzie się słowo Boże głosiło letnią porą, gdy dla zbytniego natłoku jeden kapłan w kościele, a drugi na cmentarzu nauczał, wzywając ludzi do miłości Boskiej i do żalu za grzechy, jak to i dziś się dzieje, że nie tylko na Rajskim dworze i w kościele ale i na Kalwaryi głosi się jednocześnie Słowo Boże podczas wielkich odpustów latem.

A i Nabożeństwo także odprawia się jednocześnie dzisiaj w kościele i w kaplicach i na Rajskim dworze i na Kalwaryi, a ludu wszędzie tłumy i w kościele i przed kościołem, tak że jabłko w górę rzucone, nie spadłoby na ziemię lecz na człowieka. Jest też i kaplica u wsi, poświęcona św. Ignacemu, gdzie niejeden pomocy doznaje, ale kaplica ta stała już później, za staraniem ks. Bernada Purkopa. W koło tej kaplicy piękne drzewka posadzono, i drogę do kaplicy wysadzono też drzewkami, ku ochłodzie zmęczonego przychodnia. Na wieżach są też dwa zegary, jeden nowy, staraniem księdza proboszcza Fitzka sporządzony, drugi stary, staraniem zmarłego ks. Bernada Purkopa odnowiony. Tak więc dopełnił ks. Proboszcz Fitzek dzieła swego, i celu życia swego.

„Patrzmy na pracę tę Fitzka kapłana,
Módlmy się, biorąc ztąd przykład dla siebie,
Aby ta łaska też była nam dana,
Pracę dokonać, jak każe Bóg w niebie.

Nie każdy człowiek ma kościół murować
Lecz każdy swoją znaczoną ma pracę:
Zagon swój orać i działki wychować,
Rzemiosło pełnić, lub służyć za płacę.

Czyń coś powiniem, czy mały czy duży,
Pracuj uczciwie dla dobra współbraci,
Cnocie kto służy, ten Bogu też służy,
Wszystko Bóg widzi i wszystko zapłaci.

XI.

Hystorya o pielgrzymce księdza Proboszcza
Fitzka do Rzymu i jak w Tryeście ksiądz
proboszcz tabakierę i pieniądze zgubił, a
w Wiedniu znalazł.

Ksiądz proboszcz Fitzek bardzo pragnął zobaczyć to wielkie i sławne miasto Rzym, w którym Papież mieszka. A jeszcze bardziej pragnął tego odkąd kościół wybudował, bo miał o co prosić Ojca św. dla swego kościoła. Długo myślał jakby to zrobić?... bo taka podróż do Rzymu, jest to trudna i kosztowna rzecz, i nie stać na nią było księdza Proboszcza, który wszelki swój własny grosz dał na budowanie kościoła. Myślał więc, myślał..., a wtem stało się, że Papież Pius IX. wydał wezwanie, aby wszyscy Biskupi z całego świata do Papieża przyjechali na ważną naradę.

Jak tylko ksiądz proboszcz Fitzek o tem usłyszał, zaraz udał się do księcia Biskupa Henryka, następcy śp. Kardyna. Diepenbroka, prosząc

go o pozwolenie na podróż do Rzymu, a gdyby można przy osobie Biskupa, który też na wszystko pozwolił i pomoc i opiekę obiecał. Zatem ksiądz proboszcz prędko kościół i parafię zdał do zawiadywania księdzu Bernardowi Purkopowi, komisarzowi biskupiemu, a sam co prędzej do Biskupa powrócił, i z nim społem do Rzymu w podróż wyruszył. Dnia 4. Grudnia przybyli ci dwaj pielgrzymi do Rzymu, i razem szczęście mieli przedstawić się Papieżowi Piusowi IX.

A Ojciec święty, Pius IX. nie wiadomo żądy, jakby znając prace Proboszcza Fitzka około kościoła Matki Boskiej Piekarskiej, przywitał go temi słowy: „Witaj sługo Maryi.“ — Tem rozczulony Proboszcz Fitzek rzuca się cały we łzach do nóg Papieża, aż tu przypomina sobie, że ma różne prośby do niego, a właśnie zakazano było o co bądź go prosić; gdyż zbyt wiele kłopotów i zatrudnień miał na on czas Ojciec święty. — Więc nie wiedział na razie ks. proboszcz co czynić, lecz spojrzawszy na ojcowskie Papieża oczy, od razu ducha w sobie uczuł pokrzepionego i tak rzekł:

— Ojczy święty! zakazano mi jest prosić Twoją Świętobliwość o co bądź, ale przyrzekłem mojej duchownej braci uzyskać odpusty dla ich kościołów, daruj mi więc Ojczy ś. śmiałość moją, a udziel mi tych odpustów i dla mego nowego kościoła i dla innych.

A na to Ojciec święty uśmiechnąwszy się łagodnie, pogroził palcem księdzu Fitzkowi, że

rozkaz zwierzchności przekracza, ale prośby od niego pisane, własną ręką wziął i podpisał.

Gdy następnie proboszcz z Biskupem powracali od Ojca świętego do gospody swojej księżej, tedy Biskup rzecze:

— Księżo Proboszczu, a jakęś się nie lękał uprzykrzać się Ojcu świętemu w czasie gdy jest tak wielce zatrudniony? — A proboszcz odpowie na to Biskupowi:

— Już tak Pan Bóg dał, że się nic a nic Ojca świętego nie bałem, tylko bałem się okrutnie waszej Biskupiej Mcści, i gdyby nie ten strach, byłbym jeszcze o więcej prosił, bo mam pełne kieszenie prośb o przywileje.

Nie da się to opisać co ksiądz Fitzek w Rzymie widział. Samych kościołów jest tam 356. Najpiękniejszym i największym nietylko w Rzymie, ale i na całym świecie, jest kościół św. Piotra. Z innych gmachów najpiękniejszym jest tam pałac Watykan, gdzie mieszka Papież, a ten pałac zawiera 11,000 pokojów. A co tam jest innych pałaców, co figur marmurowych, posągów, sadów, gdzie rosną same drzewa pomarańczowe, cytrynowe, oliwne i mirty i cyprysy, o tem napróżnoby i pisać, bo tego żadne pióro nie wypisze, a to wszystko właśnie ksiądz Fitzek widział, i w tych kościołach Msze św. odprawiał za wszystkich, którzy mu budować kościół pomogli. Widział także mnóstwo Biskupów z całego świata zgromadzonych na wezwanie Ojca świętego, w których to obecności „Niepoka-

lare Poczucie N. Panny Maryi“, Ojciec ś. Pius IX-ty jako dogmat wiary ogłosił. Gdy zaś się uroczystość skończyła i wszyscy się rozjeżdżali, tedy i ksiądz Fitzek z Biskupem Henrykiem z Rzymu wyjechał. Biskup do domu, a ksiądz Fitzek jeszcze domek Loretański widzieć pragnął aby się tam ciece Matki Boskiej polecić.

W samą wigilią Bożego Narodzenia udał się ks. proboszcz do Loreto, które jest miastem włoskiem, sławnem z odbywanych doń pielgrzymek, gdyż w tem Lorecie, we wspaniałym kościele katedralnym, znajduje się zachowany prawdziwy domek N. Maryi Panny, w którym Matka Chrystusowa w mieście Nazarecie mieszkała. Otóż do tego to domku proboszcz nasz odbył pielgrzymkę i w nim odprawił wedle zwyczaju trzy Msze św. Lud też tam bardzo jest dobry.

Opuściwszy potem Loreto, popłynął ks. proboszcz statkiem parowym przez morze do Tryjestu. Tam dopiero było trochę kłopotu, bo taki był porządek, że musiały się odbyć aż dwie rewizye, a na oznaczoną chwilę trzeba było się stawić na czas, aby do Wiednia jechać, a to wszystko przy wielkim natłoku spieszących się także z wyjazdem ludzi. Tedy sięga ks. proboszcz do kieszeni z pośpiechem, aby opłacić za przewóz w chwili odjazdu, a tu w kieszeni nie ma nic, ani pieniędzy, ani tabakiery nawet; biedny ksiądz, u którego grosz był wyrachowany skąpo, skamieniał z przerażenia, bo nie wiedział teraz ani jak się dostać do domu, ani o czem po-

zostać wśród obcych. W tem nieznajomy pan jakiś, widząc kłopot księdza proboszcza i domyślający się przyczyny, przystąpił do niego, i przekonawszy się, że nie mylił się wcale, ofiarował księdzu nie tylko pieniądze na podróż, ale i tabakierę własną.

Proboszcz wziął, podziękował serdecznie, spytał o adres tego pana aby mu pożyczone pieniądze odesłać gdy do Wiednia przybędzie i pojechał. Zamyślał on w Wiedniu zaciągnąć znów pożyczkę u znajomych, aby temu zacnemu nieznajomemu się uiścić, ale obeszło się bez pożyczania, bo przybywszy do Wiednia, i sięgnąwszy do tłómczka, znalazł swoje pieniądze i tabakierę, które z wielkiego pośpiechu sam nie wiedząc kiedy, wrzucił do tłómczka, zamiast do kieszeni włożyć przy wyjeździe z Tryjestu, a potem miał je za zgubione. Odesłał tedy z serdecznem podziękowaniem co się należało dobremu nieznajomemu i dalej w drogę powrotną ruszył, a 31-go grudnia na progu swojego kościoła Piekarskiego stanął. Dopieroż to dzień w dzień zbiegali się ludzie do Proboszcza swego po pracy, a on im dziwy prawdziwe o podróży swej opowiadał, i to wszystko co tutaj jest opisano i daleko więcej jeszcze. I błogosławieństwo udzielał, które mu Ojciec święty dał dla wszystkich jego parafian. I ową prośbę, którą mu Ojciec ś-ty podpisał pokazywał, a było w niej też dużo ważnego dla wszystkich, z całego dekanatu parafialnych kościołów, a ten doku-

ment z łacińskiego, na polski język był przetłumaczony i tak brzmi:

„Ojcie Świąty! Jan Alojzy Fitzek, honorowy kononik katedry wrocławskiej i pleban parafii w N. Piekarach w tejże dyecezyi, prosi Świątobliwości Waszej jak najpokorniej, aby Świątobliwość Wasza, kościół niedawno w tem miejscu zbudowany ku czci N. Panny Maryi, do której cudownego obrazu, tłumy wiernych pielgrzymują, równie jak wszystkie kościoły w okolicy, których Pasterze ze swemi owieczkami do zbudowania tegoż kościoła znacznie się przyczynili, jaką duchowną łaską obdarzyć, a zatem wielki Ołtarz każdego niżej wyszczególnionego kościoła, Świątobliwość Wasza powagą Apostolską, jako uprzywilejowany na potomne czasy ogłosić raczyła.

Podpis: parafianie i założyciele kościoła.

*

*

*

Rzym, dnia 14-go grudnia 1854 roku.

Niech się stanie według prośby

Pius IX.

Potwierdzamy ten dokument własnoręcznym podpisem i przybiciem pieczęci naszej.

Wrocław, dnia 18-go Stycznia 1855 r.

Henryk, Książe Biskup.

Dokonanie żywota sprawiedliwego kapłana.

Zbudowawszy kościół i odprawivszy pielgrzymkę do Rzymu, ksiądz Proboszcz poczuł,

Hist. Bytomia i Piekar.

że siły co raz bardziej go opuszczają, jakby mówiły: „spełniłeś zadanie twego żywota, teraz odpoczniesz wkrótce!” Sposobił się zatem ks. Proboszcz na ten spoczynek wieczny, ale tym czasem jeszcze przecież nie próżnował na świecie, bo już taki był czynny, że nie mógł się obejść bez użytecznego zajęcia, tak samo, jak bez pożywienia. Więc pełniąc wciąż obowiązki urzędu kapłańskiego, a modląc się o szczęśliwą śmierć, coraz więcej różnych jeszcze sobie obmyślał prac, ku dobru parafian swoich. Zaprowadził tedy najprzód Zgromadzenia, które nazwał Zgromadzeniami Maryańskimi, i różne nabożne dla nich ćwiczenia, nauki, rozmowy budujące i tym podobne wśród parafian krzewił, a miłość Boską i bratnią chrześcijańską w sercach ludzkich zasiewał dla plonu, którym jest: spokój, zgoda, dobrobyt przy pracy na ziemi, i wieczną szczęśliwość im gotował w niebie. Do kościoła też sprowadzał z kąd mógł najrozmaitsze piękne ozdoby, które ludzkim oczom przyjemność sprawiały, a cieszył się staruszek ozdabiając lada drobiazgiem kościół swój, nieprzymierzając niby ta matka gdy dziecko swoje przystraja. Tak raz przywiózł z kądsiś w zimę, kwiaty i owoce, zwłaszcza wiśnie, wyrobione sztucznie, ale tak doskonale, iż przysięgłbyś, iż to są prawdziwe.

W tem, zanim zdążył wyjąć ten owoc ludzkiej pracy z opakowania, przychodzi doń pewna pani znajoma, a ksiądz taki był szczęśliwy z tej darowizny z kwiatów, a wiśni do ołtarza ozdoby, że aż

mu się aż na swawolą chłopięcą i na żarty niewinne zebrało, więc częstować począł pięknie ową panią temi wiśniami, ułożywszy je na talerz jak do jedzenia, a pytając jako gościnny gospodarz:

— Czy lubi łaskawa pani, wiśnie? czy możnaby poczęstować?

— Bardzo lubię ale zkądże w zimie masz Ksiądz Proboszcz wiśnie takie śliczne“..., i tak dziwiąc się, bierze owa pani te wiśnie, i dopiero dotknąwszy, poznata, że nie są prawdziwe. Dopieroto śmiał się ksiądz staruszek i pani śmiała się także, a ksiądz opowiadał, iż wiśnie na ozdobę ołtarza podarowane zostały.

Bardzo się też śpiewem proboszcz zajmował i lubił aby lud chwalił Boga śpiewaniem. Uważał tedy na młodzież ze swej parafii, a jak tylko kto miał głos piękny i czysty, ksiądz z mowy to zaraz poznawszy, już się takim chłopcem zajął, łożył na niego co mógł, i do nauczyciela posyłał, który wybrany był na to od księdza kanonika, także śpiew lubiącego niezmiernie.

Bywało też że ksiądz kanonik w nocy chodził do kościoła na adoracyę N. Sakramentu, czasami znajdowano go rano jeszcze na gradusach klęczącego.

Wielu podobnemi gorliwemi, jak wyżej mówiliśmy, staraniami ku dobru parafii całej, zajmował się ksiądz Fitzek po powrocie z Rzymu, pilnie zawsze obowiązki swe pasterskie przytem spełniając, a coraz słabszy się stawał, niby ten

płomyk dopalającej się lampy, która długo przed
ołtarzem świeciła, aż przyszedł rok 1862 i dnia
18-go Lutego, o wpół do ósmej rano, ksiądz
proboszcz nasz, klejnot nasz, Bogu ducha
sprawiedliwego oddał, w 72-gim roku życia.

Umarł, lecz żyje w ludzkiej pamięci,
I będzie żyć tak przez wieki,
Wnuk naszych wnuków łzę mu poświęci
Jeszcze w przyszłości dalekiej.

Wnuki swym wnukom będą mówiły:
„Ten kościół z pracy jest Fitzka,
„I pieśń też ułożył ksiądz Fitzek miły,
„Ucząc lud śpiewać od dziecka.

„Uczył on także, że kto szczęśliwie,
„Wesoło żyć chce na ziemi,
„Niechaj pracuje żwawo na niwie,
„W serdecznej zgodzie z bliźniemi.

„Niech się próżniactwa jak ognia strzeże,
„I człeka co sieje niezgodę,
„Niech w uczciwości i w Ojców wierze
„Choduje dziatki swe młode.

Tak my swych wnuków dzisiaj uczymy,
Bo tak ksiądz uczył serdeczny,
Przeminą lata, wiosny i zimy,
Spoczniesz w radości przedwiecznej.

 Niby ciężki grzmot po błyskawicy, zabrzmiał
jęk bolesny po całym Szląsku naszym, na wieś

o zgonie księdza proboszcza Fitzka. Kto tylko zdołał, biegł co siły podołały, aby jeszcze raz ujrzeć własnymi oczami znajome i drogie rysy zacnego człowieka i kapłana wzorowego. Od wtorku aż do piątku spoczywały zwłoki proboszcza naszego po pastersku na plebanii, a lud tłumami schodził się i zjeżdżał i bogaty i ubogi tłoczył po cichu, aby go jeszcze raz ujrzeć, i obraz jego, wraz z cnotami jego w pamięci zachować, dla własnego pożytku dusznego. Tak zbiegli się i zjeżdżali, nietylko parafianie, ale i z bardzo daleka: lud, państwo i duchowieństwo

W piątek wieczorem postawiono trumnę w kościele na katafalku, odprawiono żałobne Nieszpory, podczas których, acz dużo była światła, przecież od łez większy jeszcze blask bił, niż od tego światła.

Był już sklep uczyniony pod kaplicą św. Józefa, gdzie leży ksiądz Sebastyan, brat jego, i tam miał nasz proboszcz leżeć, a Siostry Miłosierdzia pięknie kwiatami ten sklep przyozdobiły. W tem inny rozkaz przychodzi od księcia Henryka biskupa naszego, że grób fundatora naszego kościoła, ks. Jana Aloizego Fitzka, ma być w pośrodku kościoła, przed ołtarzem.

W sobotę, dnia 22-go lutego zgromadziło się blisko 100 księży z dyecezyi wrocławskiej, a także z Poznańskiego, z Polski, z Galicyi i z Krakowa. Trudno to opowiedzieć co się wtedy działo w Piekarach, gdy Officium defunctorum ze wszystkich brzmiało ołtarzy i ze wszystkich

serc. Bogaci i ubodzy, innowiercy i żydzi nawet, wszyscy wielkimi tłumami zbiegli się, aby oddać ostatnią posługę zacnemu kapłanowi. W kopalni na Szarleju, pan dyrektor Scherbening zwolnił na ten dzień od pracy wszystkich swoich ludzi, których bardzo wiele było i sam też z nimi poszedł na pogrzeb.

Żałobnych mów było trzy, powiedzianych przez księży: Pressfreunda, Szafranka i Kühna. Pierwsza mowa była polska, druga niemiecka, trzecia po łacinie do kapłanów, a wszystkich sens był ten, żeśmy wszyscy powinni naśladować tego zasnętego proboszcza: lud, panowie i kapłani i że prawdziwie nie po tośmy tu przybyli, aby modlić się za niego, lecz aby go prosić, iżby on teraz wstawiał się do Boga za nami.

Nabożeństwo odprawił ksiądz Bernard Purkop, przyjaciel wierny zasnętego proboszcza. Potem spuszczone do grobu zwłoki księdza Fitzka po uroczystej Mszy świętej, i jeszcze krótką przemowę miał ksiądz proboszcz Stanowski, także serdeczny przyjaciel tego, który miał przyjaciółmi wszystkich ludzi uczciwych, zacnych i mądrych.

Obecnym oczy z łez nie osychały i z wszystkich piersi jęk żałosny się wyrывał i westchnienia i prośby, nie już o wieczne odpocznienie dla odchodzącej duszy, ale abyśmy się też z nią w wiekuistej światłości ujrzeć mogli i cieszyć przez całą wieczność.

Parafia osierocona. Wybór nowego pasterza.

Oltarz marmurowy.

Gdyśmy już naszego najukochańszego pasterza pochowali, i zostali bez niego niby sieroty bez ojca, tedy różnie o tem mówiono, co i jak to teraz będzie, aż Biskup Henryk przysłał nam na Proboszcza do Piekar Czcigodnego księdza Bernarda Purkopa, co się wszystkim podobalo, dla tego, że ksiądz Bernard przyjacielem był serdecznym zmarłego proboszcza i myśli nawet wszystkie jego wiedział, więc przywitanie nowego proboszcza odbyło się uroczyście. Najprzód dzieci szkolne parami, i z krzyżem na przodzie postępowały, potem szła muzyka z bębnami, dalej chorągwie i całe zgromadzenie parafialne. Tak więc z powagą wielką przychodzimy wszyscy ku krzyżowi, aż tam już nowy Proboszcz nas czeka .. a to nie powinno być, bo my właśnie pierwsi tam stanąć byli powinni. Zatem stało nam się tak nieprzyjemnie, jakby temu pastuchowi, któremu wilk owcę zjadł, gdy on zależał czas w szalasie.

A nasz nowy Proboszcz nie zważał na to, i przywitał nas serdecznie, jakby się tego sekretu od księdza Fitzka nauczył. Przyprowadziliśmy go więc ze śpiewem i muzyką do kościoła. W kościele przywitał nowego księdza proboszcza, ksiądz Bonczek, który przytem zapowiedział słuchaczom dokładnie, że w no-

wym Proboszczu, księdzu Bernardzie, odnajdujemy Ojca naszego, który odszedł do nieba, gdyż od bardzo dawna, serdeczny związek łączył dzisiejszego nowego naszego proboszcza z jego poprzednikiem, i jednakowe w nich były uczucia i myśli i chęci.

I wszystko stało się prawdziwie tak jak ksiądz Bonczek zapowiedział. Co tylko ksiądz Fitzek zamyslał jeszcze uczynić, a śmierć mu na to nie pozwoliła, to ksiądz Bernard wypełniał, wiedząc dobrze jego myśli i zamiary i tak między innemi kaplice nasze stanęły na górze, a następnie ks. Bernard o Ołtarzu myślał, o którym ksiądz Fitzek też bezustannie dniem i nocą rozmyślał, a byłby wszystko do skutku doprowadził, gdyby nie śmierć przedwczesna, a miał to być ołtarz z marmuru.

Wezwał zatem nasz nowy Pasterz parafian swoich i naradził się z nimi co do tego ołtarza obmyślanego przez księdza Fitzka ku większej kościoła ozdobie. Zaczęły się znowu na ołtarz ten składki i ofiary, a najprzód Marcin i Barbara Milkowie, cztery tysiące talarów dali, lecz Pan Bóg powołał ich do siebie, nim ujrzeliby dzieło, na które pierwsi koszt łożyli. Potem gdy zwolna więcej pieniędzy z ofiar przybywało, po paradyje pojechało kilku przyjaciół Pasterza naszego do miasta Krakowa, gdzie się najwięcej takich ołtarzy buduje, a sam ks. proboszcz wyszukał mistrza budowniczego aż w Wiedniu, acz ziomek to był nasz

własny, i nakazał mu rysunek pięknego ołtarza zrobić, i ten rysunek w kilku egzemplarzach rozdany został pomiędzy panów, księży i gospodarzy, do obejrzenia. Rysunek podobał się wszystkim; tedy proboszcz jeszcze raz zwołał cały urząd kościelny i zastępców gminy, aby potem nieporozumień nie było, i ostatecznie naradzono się.

Budowniczy wyliczył koszt ołtarza na 15 do 16 000 talarów, a i to po skończeniu pokazało się za mało, gdyż wydatki były wielkie i materye kosztowne, a sprowadzać trzeba było z różnych stron świata. Marmurowy kamień drogi, sprowadzono aż z Włoch, a inny z Galicyi, wszystko to szło najprzód do Wiednia, i tam się obrabiało długo, i polerowało, a potem upakowano w skrzyniach, i niektóre co mniej kosztowne, bez skrzyni, — przejechało to koleją żelazną do Bytomia, gdzie już czekało się z wozami, i tak się z wielkim trudem i podziwem ludzkim zwiozło te marmury do Piekar. Podziw zaś był dla tego, że to były strasznie wielkie i ciężkie głazy, takie, że trudno było zrozumieć, jak tu radę dać temu będzie można. Z niezmiernym trudem złożyło się to do szopy na ten cel wystawionej i zamknięto na kłódki. Ludzie w okolicy o niczem podówczas nie mówili, tylko o tych ogromnych głazach i o tem, jaki też to dziw, a bogaty ołtarz w Piekarach się buduje, i kto też go będzie budował?

Po Narodzeniu Matki Boskiej zaraz, skoro się odpust odprawił, usunięto dawny ołtarz, a na fundamenta nowego miejsce wymierzono i kopać zaczęto z wielkim pośpiechem, mur z pod ołtarza dawnego wykopawszy i wywiózłszy. Dalej zaczęto fundamenta murować, a ile tam cegły, cementu i głazów się spotrzebowало, niełatwo to opisać. Wszystkiem zaś murowaniem zawiadywał pan Ogórek, mistrz mularski, staranny człowiek, cegłę od pana Halamy brał, cementem ją przelewał, aby ołtarz stał mocno, niewzruszony, jakby na skale, na wzór Kościoła Chrystusowego, który na opoce stoi, a bramy piekielne go nie przemogą.

Gdy fundamenta stały gotowe, dopiero dwóch mistrzów budowniczych, czyli towarzyszków tej sztuki przyjechało i marmury pod ich kierunkiem składano na fundamentach, a mularze zaraz z tyłu to zamurowywali. Zaciągniono to miejsce płótnem, od reszty kościoła zasłaniając i dopiero żelaznemi klamrami głazy i marmury owe tam spinano i do muru mocowano, co wszystko ostrożnie robiono, aby kosztownych materiałów nie uszkodzić.

Trudność z przymocowywaniem tych marmurów była niewymowna, bo niektóre marmury po 25 cetnarów wagi miały i na wózkach, a na walcach przywożone były z szopy, a gdy pod górę je windować przyszło, gdy się już robota ku górze posunęła, tedy ile tam rąk i o-

strożności i trudu i siły potrzeba było, na to wyrazów prawdziwie brak, aby to wszystko dokładnie opisać. Z początku sądzono, że ukończy się praca i ołtarz zostanie poświęcony na Niepokalane Poczęcie N. Maryi P., lecz gdy nadchodziły mrozy, bał się p. Ogórek murować, aby potem przez te mrozy wypadku jakiego nie-szczęśliwego nie było, bo wiadomo, że mróz murowaniu szkodzi. Zatem wstrzymano się z robotą, i później dopiero murowano dalej. Potem, gdy już ołtarz stanął, tedy złotnik nad nim pracował, aniołów, gwiazdy i różne części złocąc, aż gdy się to ukończyło, natenczas krzyż wszystką pracę uwieńczył, i ksiądz proboszcz ogłosił, i w gazetach to umieszczono, że 25 marca odbędzie się poświęcenie nowego ołtarza.

Jakoż, gdy kościół już pięknie po owej robocie uporządkowany wyglądał, tak, że wszedłszy doń, zdawało ci się prawie, żeś w niebie, a ołtarz marmurowy wspaniałością swą oczy ludzkie zachwycił, uazjeżdżało się dużo Duchowieństwa na zaproszenie naszego proboszcza i nagromadziło się ludu co niemiara z daleka i z bliska i odbyło się wielkie nabożeństwo i poświęcenie ołtarza.

O dziewiątej godzinie uderzono we wszystkie dzwony, a lud już napelniał kościół i otaczał go w około. Do ołtarza przystąpił ks. Bernard z licznym gronem Duchowieństwa; nauczyciele z parafii zaczęli pięknie śpiewać pod

przewodnictwem sławnego organisty, naszego rektora Ignacego Hejduczka, który uczenie ton podawał do tego śpiewu i takt rachował. Gdy ten śpiew został ukończony, tedy znów panny śpiewać zaczęły przez pana organistę i pana nauczyciela wyuczone.

Podczas tego śpiewu księża po cichu się modlili, a ks. Bernard urczyście obrządek kościelny odprawiał, asystowali mu zaś dwaj młodzi kapłani. Poczem Jks. Bernard miał rzewną mowę i dopiero rozpoczęła się Suma. Kazanie miał ks. Bonczek; a później jeszcze na ambone wszedł ksiądz Stanowski, starszeczek, i po swojemu, jak zaczął do Matki Boskiej Piekarskiej i do serc ludzkich przemawiać, aby Matka Boska do Syna swego za nami się wstawiała, a my, abyśmy uczciwem życiem na Jej wstawieniectwo sobie zasłużyli, tak cały tłum ludu we łzach się rozplynał wraz z kaznodzieją. W końcu zaś dziękował kaznodzieja wszystkim, którzy się do wystawienia ołtarza przyłożyli. Po kazaniu odśpiewało się „Święty Boże“, poczem każdy się ukorzył i otrzymaliśmy Przenajświętszym Sakramentem pobłogosławienie. Nakoniec śpiewak nasz, Jan Cieśla, odśpiewał pięknie, z muzyką i z ludem jedną pieśń, która się tak wszystkim podobała, że każdy chciał ją na pamiątkę posiadać, i chcieli ludzie za nią nawet płacić, ale otrzymali ją darmo odpisaną, aby dalej sobie jak kto umie przepisywał.

P I E Ś N

na podziękowanie Panu Bogu przy poświę-
ceniu nowego ołtarza marmurowego 25. marca
1879 r. w N. Piekarach.

Już nasze oczy zobaczyły dzieło,
I serca nasze rozrzewnienie zdjęło,
Już poświęcony ołtarz jest oddany,
Panu nad pany.

Panu nad pany czczonemu tu święcie,
Utajonemu w wielkim Sakramencie,
Pannie Maryi, Tej Boga-Rodzicy,
Czystej Dziewicy.

Więc dziś składamy Bogu dziękczynienie,
Za to szczęśliwe ołtarza skończenie,
Niech Bogu chwała wieczna za to
Tutaj i wszędzie. [będzie

Składamy Bogu Ojcu dziś pokłony,
I Chrystusowi co tu utajony,
Także Duchowi Świętemu co gości
W Trójcy jedności.

Dzięki i tobie Pasterzu nasz, który
Lud zachęciłeś by podniósł te mury,
Kędy twa ręka Ofiarę powtarza,
Mury Ołtarza.

Co twój poprzednik siał w serca gorliwy,
Ty to wywodzisz jak plon z dobrej niwy,
Więc za to co z twej mamy dziś poręki,
Składamy dzięki.

Wam dobrodziejom, którzyście skłádali
Małe i duże ofiary na szali,
Dzięki składamy za szczodre dawanie,
My parafianie.

Tym wszystkim, którzy czy radą czy pracą,
Składkę na ołtarz ozdobiony,
Budowniczemu i roboczej braci
Pan Bóg odpłaci.

Daj Boże duszy kanonika Fitzka,
Którego każdy z nas kochał od dziecka,
Wieczne spocznienie, niech za grze-
[sznikami
Prosi za nami.

Duszo co dary dawając przez lata,
Dzieła mi widząc odeszły ze świata,
Wieczne spocznienie racz dać wiel-
ki Boże,
Prosim w pokorze.

MATKA BOSKA PIEKARSKA

niewidomych leczy i słuch przywraca.

1) Niejaka Agnieszka Hejduczka z Rajdenia, jedenaście lat będąc niewidomą, uczyniła ślub być w Piekarach, ale dopiero po dwóch latach przyprowadzona została przez innych do Piekar. Ta, całkiem niewidoma, gdy się przybliżała do

Piekar obaczyła kościół, który jej się przedstawił jakoby szmata wielka z czerwonego sukna. Tyle obaczyła za pierwszym razem, ślubując wkrótce jeszcze tu przybyć.

Niedługo więc, tego samego 1690 roku, przyrzeczony ślub dopełniając, pełna ufności, chociaż jeszcze daleko od Piekar była, przecież kościół obaczyła taki, jaki jest w sobie—i ostatek drogi już bez żadnego przewodnika uszła. Przybywszy więc tak szczęśliwie na miejsce, rzuciła się z największą pokorą przed Ołtarz, i tu u stóp Najświętszej i Przecudownej Matki Boskiej Piekarskiej składała Jej najserdeczniejsze podziękowanie, a potem do domu, wesółą i dobrze już wszystko widzącą, powróciła, chwając Boga i Najświętszą, a Przecudowną Maryą Pannę, za której łaską z jedenasteletniego tak ciężkiego cierpienia uleczoną została.

2) Przewielebny Ks. Michał Pikulik, wikariusz Ujezdski przez 17 tygodni nic wcale nie widząc, za wezwaniem Matki Boskiej Piekarskiej, wzrok odzyskał i srebrne wotum na świadectwo odebranego dobrodziejstwa, zawiesił przy ołtarzu Matki Boskiej, dnia 6-go Lipca, 1698 roku.

3) W r. 1708 przyszedł z procesją Liscieńską, z Raciborza 70-letni Marcin Skowronek, rolnik, do Matki Boskiej Piekarskiej, który przez trzy tygodnie cierpiał ślepotę oczu i Matce Najśw. Piekarskiej się ofiarował i zaraz też bez odwłoki na oba oczy przejrzał. Lecz zaniedbawszy

ślubu, wkrótce znów zaniewidział. Tak upośledzony, znowu poraz drugi Matce Najświętszej się ofiarował, obiecawszy odbyć podróż do Piekar. Po tej uroczystej obietnicy, zaraz nazajutrz zrana lewym, a ku wieczorowi już obiema oczami dobrze patrzył. Natychmiast więc wykonanie swego ślubu wykonać postanowił i udał się niezwłocznie pieszo do Tej najłaskawszej i najlepszej Matki i ślub swój z wdzięcznością uczyniwszy, wypowiadał się, Komunię świętą przyjął i odebrane dobrodziejstwa publicznie rozgłosił. Slepotę jego całej wsi wiadomą, obywatele miejscowi nie tylko świadectwem zeznali, ale i własnoręcznie podpisali.

4) W r. 1718-tym, Wielmożna Pani Nawe, złożyła Matce Boskiej Piekarskiej w ofierze, wyrobione na srebrnej blasze dwa oczy, z wdzięczności, że za pomocą i Jej wstawiennictwem od niebezpieczeństwa ślepotą jej grożącego uratowaną została.

(Najt. Marya Panna Piekarska leczy głuchotę.)

5) Jadwiga Ostawka panna, zaczęła tracić słuch, aż nareszcie długi czas prawie zupełnie głuchą była, nad czem ciężko bolejąc, udała się do Najświętszej Panny Maryi Piekarskiej, a wypełniwszy przyrzeczony ślub 20-go Stycznia 1679 r. do Piekar przybyła i tu zupełny słuch odzyskała, co własnoręcznym jej podpisem i świadkami potwierdzone zostało.

(Koniec Części pierwszej.)

(Przedruk sądownie zastrzega się.)

Dodatek do Historji Piekar.

Z aktów fundacyjnych kościoła farnego w Piekarach.

Piekary, 21. Stycznia 1889.

W Imię Trójcy Przenajświętszej ustanawiam dzisiaj, ja niżej podpisany, na cześć Boga i chwałę Najświętszej i najłaskawszej Matki naszej Maryi, fundację mszalną i modlitewną na wieczne czasy za wszystkich żyjących i zmarłych fundatorów tutejszej Kalwaryi.

W interesie historii zaznaczam co następuje: Już w roku 1664, jak własnoręcznym podpisem, honorem kapłańskim i sumieniem swoim zapewnił i pieczęcią uwierzytelnił, ks. prebendarz Andrzej Wiercioskowicz d. d. w Piekarach, dnia 5-go Sierpnia 1678 r., że tak on sam, jak i ówczesny Proboszcz Piekar, Jakób Rocz-

kowski własnymi oczami, wyraźnie i jak najrzeczywiściej widzieli, że około godziny 3-ciej w nocy, przez całą godzinę dwa światła, jakoby dwie palące świece ze wzgórza Cerekwia do kościoła tutejszego się spuściły, a potem wkrótce znów to na wzgórze, to do kościoła się spuszczały i odwrotnie wyraźnie się pokazywały. Ztąd utworzyła się tradycja, iż kiedyś przyjdzie czas, że i to wzgórze zostanie własnością kościelną, i razem z łaski pełnym przybytkiem Panny Maryi, tutejszym kościołem połączone, wspólnie przyczynią się do uświęcenia Górnego Śląska i przez możne wstawiennictwo Maryi, wiernym wiele i wielkich łask wyjednają.

Ta to tradycja właśnie skłoniła ks. Bernarda Purkopa, Proboszcza Piekar, oraz Dziekana i Komisarza ksiązęco-biskupiego, że postanowił wzgórze Cerekwicę (v. Cerekwie) od jej właściciela Hugona hr. Henkel v. Donnersmarck na Nakle, który jako dobry katolik posiada pobożne i szlachetne serce, dla siebie na własność nabyć, i na takowej kilka kaplic postawić.

Szkoda tylko, że niestety bez żadnego planu i także bez osobliwszego gustu kaplice te pobudowano. Wzgórze to wraz z kaplicami przekazał ks. Purkop mocą testamentu z 5 Lipca 1881 r., po swojej śmierci tutejszemu kościołowi, w celu jak wyżej wyrażonym, żeby na niem z czasem wzniesioną została Kalwarya ś.

Po śmierci śp. księdza Purkopa i jego następcy śp. ks. Proboszcza Antoniego Sobotty, który tutaj tylko 2 lata swój urząd Proboszcza sprawował, a w którym to czasie prawie ciągle ciężko chorował; — podobają się Bogu w Swojej łaskawości mnie niżej podpisanego na Proboszcza do Piekar powołać, chociaż już wtenczas liczyłem lat 56 życia. Już i pierwaj, w czasie wakansu po śmierci dawniejszego proboszcza księdza kanonika Jana Alojzego Ficka, którego świątobliwość wszystkim znana, ówczesny książę-biskup wrocławski dr. Henryk Foerster, później znowuż po śmierci ks. prob. Purkopa, jego wysoki następca książę-biskup Dr. Robert Herzog, obaj wzywali mię piśmien- nie, abym się o tutejsze probostwo starał. Uczynilem też to, jednakże bez skutku. Na- reszcie 18 Marca 1886 r. skutkiem prezenta- cyi (przedstawienia) nadprezydenta prowincyi szląskiej, p. v. Seydewitz i wskutek ustalenia się księcia-biskupa wrocławskiego dr. Herzoga, zostałem z mego dotychczasowego probostwa w Kowalowicach, w pow. Namysłowskim, tu dotąd powołanym. Przybywszy na miejsce— podjąłem też zaraz z całym zapsem mego serca i z całą miłością tę piękną ideę na tu- tejszem, łaskami słynącym miejscu, wznieść Kalwaryę świętą.

Zaraz też rozpocząłem podczas tutejszych odpustów i gdzie mi się jakakolwiek okazy-
za zdarzyła, zbierać bez odwłoki pieniądze na bu-

dowę ś. Kalwaryi, i jestem tyle szczęśliwy, że dotąd już przeszło 50.000 mr. z dobrowolnych, po części prawie tylko małych datków zebrać mogłem. Sumę tę, za którą Bogu najserdeczniejsze składam dzięki, pomnażam 10-cio tysiącami mr. z moich własnych funduszków, z których większą część, to jest 6.500 już złożyłem, a resztę mam nadzieję, że jeszcze w tym roku 1889 złożyć będę mógł. Z prawdziwą wdzięcznością nadmieniam też tutaj, że w zbieraniu składek, moi dotychczasowi kapelani, jak: ks. Albin Steger, obecnie proboszcz więzienny w Brzegu, ks. Jan Kulig i ks. Jan Ronczka obaj w Piekarach, oraz i inni bawiący tutaj kapłani, a szczególnie mój dobry brat ks. Karol Nerlich, Proboszcz w Popielowie, w pow. Opolskim, wedle możliwości swojej mi dopomagali.

W tym czasie starano się o pozwolenie rządowe nabycia wzgórza Cerekwicy dla budowy tutejszej Kalwaryi, a równocześnie pracowano nad wykonaniem planu ś. Kalwaryi; żeby jednak nie tracić czasu, zaczęto zaraz sadzić drzewa, krzewy i budować kaplice. W niedzielę po Wniebowzięciu Najśw. Panny Maryi, w r. 1887, po pięknym przemówieniu Ojca Władysława Szneidra i miejscowego Proboszcza, cała Cerekwica została na swój nowy wzniósł cel, to jest na ś. Kalwaryą poświęconą, a w poniedziałek rozpoczęto jej budowę. Wzgórze Cerekwica sub. No. 306 w Niem.

Piekarach, zostało w sądowej księdze, zwanej „Grundbuch“, d. 17. Maja 1888 r. do majątku fundacyjnego tutejszego kościoła przyłączone i generalne pełnomocnictwo do wzniesienia budowy ś. Kalwaryi za tymże N-rem 306, przez Najprzewielebniejszego księcia-biskupa na dniu 25. Sierpnia 1888 r. z tajnej kancelaryi za Numerem 4680 zostało mi udzielonem.

Plan pod tęż ś. Kalwaryą wypracował Przewielebny Ojciec Władysław Schneider, Franciszkanin, urodzony na Szlązku w Rosnochowie przy Głogówku, który przez cały czas trwania bezrozumnej walki kulturalnej w Prusach, prawie przez 14 lat na Wschodzie, a większą część tego czasu w samej Jerozolimie z największą gorliwością pracował. A że Ojciec Władysław posiada nadzwyczajny dar dla takiego dzieła, on więc naszkicował nie tylko plan cały, ale i wszystkie pojedyncze kaplice tak co do zewnętrznej budowy jako i do wewnętrznego ich urządzenia. Poczynione przez Ojca Władysława szkice, opracował następnie pan Jakisch, sławny budowniczy wspólnego kościoła ś. Trójcy w Bytomiu, a później podług tychże rysunków mistrz mularski Karol Ogorek z Szarleja, mój kochany szwagier pojedyncze kaplice budował.

Tak Przewielebny Ojciec Władysław Schneider, jako i szwagier mój Ogorek nie żądali dotąd jeszcze żadnego za swe niezliczone

trudy i prace wynagrodzenia, i nie mają też zamiaru kiedykolwiek takowego żądać. Niech im Pan Bóg sam je wynagrodzi, gdyż oni obaj należą do największych dobrodzieji tutajszej ś. Kalwaryi. Oni więc i ich najbliżsi niechaj obficie korzystają z owoców tejże świętej fundacyi.

Do dziś niejedno już tutaj sprawiono ku czci ukrzyżowanego Zbawcy naszego. Dolina Józefata, rzeczka Cedron, Góra Oliwna z grotą i ogrodem Getsemańskim i dużo alei zostały już założone, chociaż jeszcze nie wykończone. Również i następujące kaplice: 1. Scala sancta (święte gradusy); 2. Pałac Piłata; 3. Przyjęcie krzyża; 4. Spotkanie się Jezusa z Najśw. Matką swoją; 5. Szymon Cyrenejczyk; 6. Wschodnia brama Jerozolimy zostały nowo zbudowane, podczas gdy pierwszy i drugi Upadek Chrystusa pod krzyżem, dwie kaplice przez śp. ks. komisarza Purkopa zbudowane, obecnie na nowo przebudowywane zostają, wraz z Zachodnią bramą Jerozolimy.

Jeżeli Bóg pozwoli, to jeszcze w roku 1889 zostaną budowane: 1. Ostatnia Wieczerza; 2. Dom Kajfasza z więzieniem; 3. Trzeci upadek Chrystusa. Szkice do tychże kaplic przez O. Władysława Schneidra wykonane, ma już u siebie pan budowniczy Jakisch do technicznego ich opracowania.

Dalsza budowa Kalwaryi ma być pozostawiona następnym czasom — i w końcu wielkie to i wspaniałe dzieło uwieńczonem ma zostać na samym szczycie wzgórza Cerekwicy budową wspaniałego kościoła o trzech nawach, w którym każda nawa mieścić będzie jedną tajemnicę, to jest: 11-tą, 12-tą i 13-tą Stację zwykłej „Drogi Krzyżowej“. Tak obszerny kościół jest tu koniecznym, bo tutejsza łaskami słynąca Świątynia jest wiele za małą, by pomieścić mogła licznych pielgrzymów, którzy tutaj przybywają, a co, szczególnie podczas snoty i niepogody jest bardzo przykrem.

Po wypowiedzeniu tego wszystkiego w interesie historyi, oddaję dziś tutejszemu rzymsko-katolickiemu Zarządowi kościoła 2.000 mr. w dwóch król. prusk. konsolach 4% z Lit. C. za Nr. 145.542 i za Nr. 144.788, każdy po 1.000 marek. Jam się do tejsze fundacyi sumieniem mojem zobowiązał, gdyż zawsze obiecywałem pobożnym ofiarodawcom, że za wszystkich dobrodziej i wedle ich intencyi i za ich rodziny, czy oni żyją lub też już pomarli w tutejszym łaskami słynącym kościele po wszystkie czasy ofiary Mszy św. czynione będą.

Fundacyi tej stawiam następujące warunki:

1. Za procent od tego funduszu ma być corocznie odprawionych 12-cie Mszy św. za

żyjących i zmarłych dobrodzieji tutejszej św. Kalwaryi i za ich rodziny, a mianowicie: 6 Wielkich Nabożeństw (Sum), z błogosławieństwem za żyjących — i 6 *Requiem cantate*, śpiewanych, przy wystawieniu tomby z konduktem i śpiewaniem „Salve Regina“ za zmarłych; — za ostatnich, także i w niedzielnych modlitwach za zmarłych mają być czynione wzmianki.

Po ukończeniu budowy Kalwaryi ma być od 10 do 10 lat zawsze jedna Msza święta za żyjących dobrodzieji, przez jedną Mszę ś. za zmarłych zastąpioną, tak, że w 60 lat po wystawieniu Kalwaryi tylko Msze święte za zmarłych czytane będą.

2. Te Msze święte mają zawsze w piątki być odprawiane i to co miesiąc jedna, o czym zawsze w niedzielę wpierw powinno być ogłoszonym.

3. Z procentów tychże otrzymają:

- a) Proboszcz za zalecania $\frac{1}{20}$ teraz 4 m.;
- b) ksiądz celebrujący, wszystko jedno, czy to proboszcz lub kapelan za każdą Mszę świętą $\frac{1}{20}$ a więc $\frac{12}{20}$ teraz 48 marek;
- c) organista za każdą Mszę ś. $\frac{1}{30}$ m., a więc $\frac{12}{30}$ m., teraz 12 marek;
- d) kasa kościelna $\frac{1}{20}$ teraz 4 mr.;

- e) sługa kościelny $\frac{1}{20}$, teraz 4 marki;
- f) ministranci . . . $\frac{1}{20}$, „ 4 „
- g) dla pomnożenia funduszu zachowane będzie $\frac{1}{20}$ teraz 4 mr., ostatnie aby powatać mogące dyferencye kursu pokryć, albo żeby z czasem fundacyę tę ulepszyć.

4) Nigdy a nigdy fundacya ta nie może być inaczej, jak tutaj wymieniono użytą, chociażby prawo państwowe inaczej miało być zmienione. Gdyby zachodziło niebezpieczeństwo, że fundacya ta miałaby być kiedy na inne cele obróconą lub wcale zniesioną, natenczas rzymsko-katolicki Biskup dyecezyalny ma prawo i święty obowiązek fundacyą tę gdzieindziej, chociażby to było i po za dyecezyą tutejszą lub i po za granicami państwa, fundacyą tę dla jej celu utrzymać, a gdyby i to było nie możliwem, natenczas fundacyi tej kapitał ma być tutejszej katolickiej gminie oddanym, ażeby, gdy już byłoby niemożliwem go dla pierwotnego celu uratować — takowy mógł być w równych częściach pomiędzy tutejszych rzymsko-katolickich parafian rozdzielonym.

5) Fundacya ta stoi pod wyraźnym dozorem zarządzającego rzymsko-katolicką dyecezyą biskupa i pod zarządem miejscowego Proboszcza.

6) Gdyby mi Bóg udzielił łaski, wielkie i święte to dzieło tutejszej Kalwaryi ukończo-

nem widzieć, natenczas chętnie bardzo chciał-
bym fundacyę tę jeszcze powiększyć, aby do-
broczyńcom jej więcej jeszcze duchownych łask
wyjednać.

Niech więc Bóg w miłosierdziu swoim
fundacyę tę łaskawie przyjmie i do dalszej
budowy i wykończenia tutejszej św. Kalwaryi
swego boskiego udzieli błogosławieństwa.

Leopold Nerlich,
proboszcz, dziekan i komisarz
książęco-biskupi.

Powyższa fundacya mszalna i modlitewna z
wszystkimi postawionemi tu warunkami chę-
tnie przyjętą została.

N. Plekary, d. 25. Stycznia r. 1889.

Rzymsko-katolicki Zarząd kościelny:

Proboszcz i przewodniczący,

Nerlich.

Ed. Gans. Josch.

Na powyższą fundacyę mszalną i zalecania
z ambony, niniejszom się zezwala i takową
potwierdza.

Wrocław, d. 5 Lutego 1889 r.

Książęco - Biskupi Jeneralny

Wikaryatny Urząd.

Gleich.

Nr. potwierdzenia 1238 a.

Podajao powyższy wyciąg wyjęty z aktów fundacyjnych kościoła farnego w Piekarach, sądzimy, że tym sposobem najlepiej obeznaliśmy Czytelników, z dalszą historją parafji Piekar, powstaniem i budową Nowej świętej Kalwaryi; oraz chociaż z małą częścią wielkich i licznych zasług, jakie zgasły w Panu, nieodżałowanej pamięci ks. Kanonik Nerlich, w parafji pieczy jego powiezionej, a której tak wielkim stał się dobrodziejem, położył. Smutnem też echem w sercach wszystkich parafian odbił się dzwon żałobny, który w nocy o godzinie 1-ej dnia 20-go Lipca zwiastował zgon tego świętobliwego kapłana. Pragnął on tak bardzo widzieć jeszcze ukończonem wielkie swe dzieło, tę świętą Kalwaryę. Bóg mu jednak nie udzielił tej pociechy tu na ziemi. Najświętsza Marja Piekarska, której tak wiernym był synem i tak wielkim i gorliwym wielbicielem i czcicielem Jej chwały, większe dla niego przygotowała szczęście i świetniejszą nagrodę w niebie, dokąd Go zaraz, jak to wierzyć możemy, po zgonie przeprowadziła. Wiadomo jest wszystkim wiernym, że Najśw. Marja Panna przyrzekła św. Dominikowi, że tym wszystkim, którzy czczą i wielbią Ją w Szkaplerzu św. udzieli tej wielkiej łaski, że w pierwszą Sobotę po ich śmierci przybędzie Ona do czyśca i duszę ich do chwały niebieskiej wprowadzi. — Otoż śp Ksiądz Kanonik Nerlich zasnął około godziny 1-ej po północy z Piątku na Sobotę

(20-go Lipca, 1895 r.) w którym to dniu rozpoczynał się w Piekarach wielki Odpust ku czci Najśw. Maryi Panny Skaplerznej. Czyż może być piękniejszy dzień przejścia z tej krainy cierpień i boleści do wiecznego życia?

Po śmierci, dla kochających go wiernych parafian, niestety za wcześniej zgasłego proboszcza, ksąż.-bisk. komisarza, śp. ks. Leop. Nerlicha, zarządzał osieroczoną parafią Przewiel.ks. Karol Abramski, ówczesny pierwszy kapłan w Piekarach, obecny proboszcz Rozdzenia-Szopienic, który wraz z Przewiel.ks. pelanem Pawłem Sygullą, teraz proboszczem w nowo powstałej parafii Orzegów, pod Bytomiem, kilka lat ostatnich pomagali w uciążliwej pracy niezmordowanemu i nie upadającemu nigdy pod jej ogromem, swemu Proboszczowi, miłością i zasłużonym poważaniem słodząc mu ostatnie życia jego chwile.

Wielką pociechą dla chorego i cierpiącego ks. Kanonika była obecność brata jego ks. Karola Nerlicha proboszcza Popielowa, którego zmarły szczególniejszą ukochał miłością, nazywając go zawsze swoim dobrym ukochanym bratem, a który w ostatnich tygodniach jego gasnącego życia, prawie nie odstępował od łoża boleści i na którego też rękach zmarły wyzionął czystą i świątobliwą swą duszą.

Na nowo założonym cmentarzu u stóp Nowej ś. Kalwaryi, piękna, z białego kamienia i czarnego marmuru zbudowana kaplica, wskazuje miejsce gdzie jakoby na straży tej

św. Kalwaryi, złożono na wieczny Spoczynek, najgłówniejszego jej fundatora. Tysiączne też tłumy zdalekich nawet stron przybyły ludu, aby znanemu i czczonemu w szerokich kołach kapłanowi oddać ostatnią przysługę, postępując za bogato w wieńce przybraną trumną, którą poprzedzały różne bractwa i orszak złożony z przeszło 100 duchownych, świadczący, jak i u konfratrów swoich, zmarły kapłan wielką posiadał miłość.

Smutno zrobiło się w Piekarach po utracie ukochanego Proboszcza, bo Proboszcz w parafji to jakby Ojciec w rodzinie. Pustka i próżnia gdy go zabraknie, to też z prawdziwą radością przyjętą została wieść, że na przyszłego proboszcza Piekar zamianowany został ukochany brat zmarłego, Przewielebny Ks. Karol Nerlich, Proboszcz z Popielowa, i że na brata drogiego zmarłego spadły w puściźnie: szczęście i obowiązek dokończenia tego wielkiego dzieła, dla którego zmarły brat tyle prac, trudu i zabiegów swoich poświęcił.

W dzień 16 Listopada t. r., nowy proboszcz uroczyście i z oznakami radości, na jaki tylko parafjanie Piekar zdobyć się mogli, przez zamianowanego w miejsce zmarłego ks. dziekana Nerlicha, dziekanem ks. proboszcza Konieczko z Radzionkowa, wprowadzonym został na tutejszą parafję, w której, aby dozwolonym mu było od Boga w jak w najdłuższe lata przy dobrem zdrowiu, spełniać te trudne

i ciężkie obowiązki dla swego własnego i pieczy swej powierzonych parafjan zbawienia.

Nowy Proboszcz zajął się też zaraz gorliwie dokończeniem św. Kalwaryi i przygotowaniem jej do uroczystego poświęcenia, no która to uroczystość dopełnioną została przez JEGO Eminencję księdza Kardynała Dra Koppa, w następnym zaraz 1896 r., dnia 21-go Czerwca. Uroczystość poświęcenia Nowej tej Kalwaryi poprzedziły 8-mio-dniowe Missyje, na odbycie których nowy ksiądz Proboszcz zaprosił Przewielebnych księży Misyonarzy z Krakowa, chcąc dać parafjanom swoim sposobność do przygotowania serc swoich do godnego przyjęcia od Boga tej wielkiej łaski, jaką jest Kalwarja święta, oraz i wskazania im jaki mają obowiązek przez cnotliwe i pobożne zachowywanie się nie tylko starać się Bogu za osiągnięcie jej dziękować, ale i wszystkim tak licznie tu napływającym pątnikom dać przykład dobrego i cnotliwego życia.



MATKA NAJŚW. PIEKARSKA WSKRZESZA OD PIORUNU ZABITA.

W r. 1677, dnia 6-go listopada zabił piorun pod miastem Baworowem 17-to letnią pannę, córkę Ewy Liszkowej z Baworowa, Weronikę, która za przyczyną N. Panny Piekarskiej do życia powróconą została. O cudownym ożywieniu tem czytamy co następuje: „My uniżej podpisani świadczymy sumieniem kapłańskim, że stanął przed nami Melchior Malecki mieszczanin z miasteczka Baworowa, położonego w Księstwie Karnoweńskim na Śląsku, w dyecezyi Olomunieckiej, mąż go-dzien zaufania, dobry i uczciwy — i zeznał przed nami, że 1-go sierpnia r. 1677 blisko Baworowa, obłoków srodze się błyskających spadł na ziemię piorun i uderzył w miejsce na którym młodzież zwykle w kręgle się ba-wiła, a tym razem zestraszona burzą uciekła, a przechodziła właśnie 17-to letnia córka Ewy Liszkowej z Baworowa, która jednocześnie z uderzeniem pomienionego piorunu nagle na ziemię upadła i natychmiast bez zmysłów zo-stała, tak dalece, że ani plwociny krwawej z otwartych ust, nie wydała na ziemię. Obecny wypadkowi temu Melchior Malecki podniósł z ziemi dziewczkę próbując czyniestanie, albo czy nie usiądzie, ale wszystko było na-próżno w niej już życia nie było. Nadszedł na to An-drzej Onderko, także obywatel z Baworowa

ujął rękę nieszczęśliwej, próbując czyby ją podnieść mogła, ale żadną miarą. Obaj więc przekonali się, że dziewczynka ta nie żyje, co przysięgą stwierdzić gotowi.

Dowiedziawszy się o tem Marcin Kurzydyma, mieszczanin Baworowski, rozgłosił w Baworowie, że Weronika Liszkówna od pioruna zabita, trupem leży po za miastem, o czem dowiedziawszy się matka jej, zalała się łzami, i z własnego natchnienia padła na kolana i poruciła życie córki opiece Przecudownej Matce Boskiej Piekarskiej, obiecując uczynić pielgrzymkę do kościoła Piekarskiego, który to ślub, gdy do córki za miasteczkiem niezżywej przybyła, w obecności Anny Opilińskiej z Baworowa odnowiła. Ledwie też stanęła przy leżącej córce i nad nią się schyliła, spostrzegła, że ukochana córka jej lekko tchnęła, a po krótkim czasie otworzyła oczy i żyć na dobre poczęła. Co wszystko przez osoby godne wiary sprawdzone, własną ręką i pieczęcią poświadczamy tu w plebanii Baworowskiej, dekanatu Karnowskiego, dyecezyi Ołomunieckiej, dnia 21-go listopada 1678 roku.

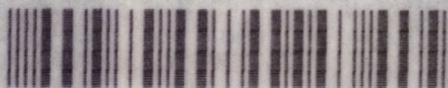
Ks. M. Simon Petrus Molloch, parochus opide Boworow; — *Nicolaus Bernardus Alberti*, Protune Vicarius Bavoroviensis.

Śmierć dziewczyny tej przeszło godzinę trwającej, a za wezwaniem Przecudownej Matki Boskiej Piekarskiej do życia powołanej, poświadczyło i zaprzysięgło bardzo wiele osób.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

4055 S



001-004055-00-0